Nr 10. Październik 1909. Rok XXVIII.

PRZEDŚWIT



MIESIĘCZNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY
ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

TREŚĆ:

KRAKÓW
Z DRUKARNI LUDOWEJ (UL. FILIPA 11).

Nr. 10. Październik 1909 Rok XXVIII.

Przedświt

XI. ZJAZD P. P. S.

Socyaliści polscy nie mogą skarżyć się na monotonię życia. W ciągu ostatnich 5 lat byliśmy świadkami zmian politycznych i społecznych takich, jakie przeżywała oprócz nas, chyba tylko jedna niemiecka partya socyalistyczna między 1865 a 1871 r. Zaś w historyi naszej możnaby, z uwzględnieniem rozmiarów, porównać lata ostatnie z przewrotem, dokonanym przez powstanie r. 1863, kiedy zamknięty został parowiekowy okres szlachecko-feudalnej Polski, a rozpoczęła się era kapitalizmu, z nowymi ludźmi i nowymi poglądami na świat. I tak samo, jak po ostatniem powstaniu, nie odrazu uświadomiono sobie, co zaszło i z czem się rozstać trzeba, tak też i u nas, nie lata 1904—1906, ale następne — 1907 i 1908 — były czasami dojrzewania wyniku doświadczeń, zdobytych podczas ruchu rewolucyjnego.

Gdy się odbywał zjazd nasz przedostatni — na wiosnę r. 1907 — nie pozbyliśmy się jeszcze wielu chlubnych i tragicznych, a jednocześnie pod tylu względami nie odpowiadających czasom dzisiejszym, tradycyj okresu rewolucyi. Mieliśmy jeszcze do czynienia w partyi z wielkiemi gromadami ludności; pomimo reakcyi, która ze zwierzęcą drapieżnością starała się nas schwycić za gardło, prowadziliśmy masową agitacyę półjawną, nie bacząc, że odkrywamy w ten sposób wrogowi najgłębsze tajniki ruchu; zaś pod względem ideowym przystępowaliśmy dopiero do zsumowania doświadczeń, nabytych w okresie rewolucyi, a niejeden z nas — może bezwiednie — tkwił jeszcze głęboko w burżuazyjno-anarchistycznej ideologii, stworzonej przez produkty niedojrzałości naszego dawnego ruchu socyalistycznego — esdecyę i umiarkowańców.

Czas zrobił swoje. Piekło dantejskie, przez które przechodziła i przechodzi jeszcze partya socyalistyczna, zmusiło szeregi nasze do wniknięcia w siebie i we właściwą treść wypadków. Cały okres czasu od zjazdu przedostatniego był epoką dojrzewania polskiej myśli socyalisty-

cznej, opracowywania szczegółów programu i jedynej taktyki, jaka przystoi partyi socyalistycznej narodu podbitego. I choć procesu tego długo jeszcze — póki trwać będzie walka nasza z ustrojem dzisiejszym — nie będziemy mogli uważać za zakończony, jednak i to, co już zostało dokonane, musiało być ujęte w pewne określone formuły i oficyalnie przez najwyższą władzę partyjną uznane.

A jednocześnie odbyła się w warunkach naszego istnienia inna jeszcze ewolucya. Przed $2^1/_2$ laty na terenie akcyi naszej istniały obok nas dwie inne organizacye socyaliczne — Frakcya Umiarkowana i „Socyaldemokracya“ — z któremi liczyć się musieliśmy. Nie zapominajmy bowiem, że w początku r. 1907 S. D. K. P. — według swego własnego rachunku, coprawda — przeciwstawiała naszym 20.000 zorganizowanych towarzyszy swoje 30.000 członków esdeckich związków zawodowych, którzy wprawdzie w olbrzymiej większości nic wspólnego z ideologią esdecką nie mieli, ale powiększali wpływ i powagę partyi anarchii beznarodowej. Umiarkowańcy, nie posiadający ani określonego programu, ani własnej taktyki, a istniejący jeszcze wtedy w całym kraju, stanowili hufiec pomocniczy esdecyi. Polski ruch socyalistyczny rozpołowiony był zatem, pozbawiony jedności, wystąpieniom jego brakowało tej siły, do jakiej zdolny on jest zawsze, nawet w chwilach największej reakcyi.

I pod tym względem stosunki się zmieniły. Organizacya Frakcyi Umiarkowanej rozpadła się, „Socyaldemokracya“ utraciła wpływ na masy i zredukowana została do roli garstki sekciarzy, coraz bardziej zatracających zrozumienie potrzeb mas robotniczych. I gdy przed laty dwoma byliśmy *jedną z partyj socyalistycznych*, to dziś, jeżeli nie formalnie, to w każdym razie faktycznie, jesteśmy *partyą socyalistyczną* kraju naszego.

Zmieniły się i stosunki zewnętrzne. Reakcya, która z początku uważana była, nawet przez wielu towarzyszy, za zjawisko przelotne, mające lada chwila ustąpić, ustaliła się i przybrała określone formy. Jej cechami charakterystycznemi stała się rosnąca w kierowniczych sferach rządowych przewaga elementów czarnosecinnych, doprowadzających państwo do coraz szybszego rozkładu i grożących mu upadkiem, oraz rozszalały nacyonalizm, stanowiący jedyną ideologię rosyjskiej burżuazyi i szlachty, wszczepiany przez nie ciemnym masom ludowym.

Pod takimi znakami odbył się zjazd nasz, który miał zatem do omówienia nietylko zwykłe, nagromadzające się

z biegiem czasu sprawy organizacyjne, ale i szereg zagadnień, wynikających ze zmienionej sytuacyi politycznej.

Uchwał zjazdu, któremi wszystkie te kwestye zostały rozstrzygnięte, powtarzać nie będziemy, gdyż są pomieszczone i szczegółowo wyjaśnione w sprawozdaniu. Ograniczymy się do omówienia najważniejszych spraw.

Przedewszystkiem należało powiedzieć wyraźnie, jakiej taktyki partya trzymać się będzie w stosunku do reakcyi, gnębiącej w coraz większym stopniu i lud pracujący i całe społeczeństwo. Było to potrzebne nie ze względu na różnice zdań w naszych własnych szeregach, — gdyż nigdy może nie było w P. P. S. takiej jednomyślności, jak w chwili obecnej i co do tej kwestyi. Ale zjazd nie przemawia tylko do towarzyszy, lecz do tych wszystkich, których zjednać możemy i powinniśmy. A w masach spotykamy się i z bezsilnem opuszczaniem rąk i z utyskiwaniem na naszą działalność rewolucyjną, której niektóre, oszalałe ze strachu, jednostki przypisują dotąd ciosy na naród spadające, i wreszcie nawet mamy tam kierunki wprost reakcyjne, pomagające rządowi zaciskać arkan, obmotany koło naszej szyi. Położenie nasze podobne jest do położenia partyi socyalistycznej w Niemczech po zaprowadzeniu praw wyjątkowych w r. 1878, kiedy zewsząd odzywały się głosy, że „ostra taktyka“ partyi socyalistycznej stanowi przyczynę ucisku. I tak samo, jak wtenczas towarzysze niemieccy, tak i my teraz, postanowiliśmy nie ustępować, ale przeciwnie, śmiało stawić czoło reakcyi, którą też kiedyś, jak Niemcy, po upływie pewnego czasu zwyciężymy.

Główne wytyczne, wyniesione przez zjazd w tej sprawie, możnaby streścić w dwóch przykazaniach: ostrej walki rewolucyjnej na dziś, przygotowywania się do walki zbrojnej w przyszłości, może niedalekiej. Ale i ta ostatnia sprawa wymagała bliższego określenia, gdyż dotąd niejednemu robotnikowi mogło się wydawać, że my rzeczywiście przygotowujemy „zakonspirowaną armię“, jak to o nas głoszą nasi przeciwnicy. Zjazd rozwiał tę wątpliwość, wskazując, że partya powinna pracować w dwóch kierunkach: dbać o rozwój właściwej organizacyi bojowej, stanowiącej mały, stale w walce będący hufiec, oraz szerzyć w masach wiadomości, mające przygotować je do przyszłej walki zbrojnej.

W związku z tą sprawą znajduje się uchwała o zachowaniu się naszem w razie zatargów wojennych między Rosyą a innemi państwami. Cały szereg danych pozwala nam bowiem przypuszczać, że zatargi takie stają się coraz prawdopodobniejsze, że zatem należy gotować się do

tego, by one nie zastały nas nieprzygotowanymi. I pod tym względem konieczna jest akcya bojowa, jak to zresztą partya nasza wskazywała jeszcze wtedy, gdy rosnąca słabość Rosyi i możliwość wojny nie były tak, jak teraz widoczne. Uchwała, przez zjazd powzięta, nakazuje partyi w razie wojny wytężyć swe siły, aby czynny wziąć w niej udział, skierować walkę przeciwko rządowi rosyjskiemu i starać się zdobyć dla zaboru rosyjskiego niezależność polityczną.

Trzecią ważną i stale aktualną sprawą, był stosunek partyi do walki ekonomicznej. Wywołała ona największą dyskusyę i rozstrzygniętą została w jedyny, odpowiadający zasadom socyalistycznym sposób — wskazaniem, że skuteczna walka ekonomiczna nie jest możliwą bez obalenia ucisku politycznego i że przy dzisiejszych warunkach, partya musi w wielu wypadkach brać udział w zatargach ekonomicznych, zastępować nie istniejącą organizacyę zawodową.

Inna znowu kwestya wymagała zasadniczego rozstrzygnięcia. Szło o zlikwidowanie pewnego fałszywego poglądu, wyrosłego w ostatnich kilku latach i skrzętnie szerzonego przez esdeków i umiarkowańców, mianowicie, że partya socyalistyczna nigdy, pod żadnymi warunkami nie może wchodzić w porozumienie z partyami niesocyalistycznemi, gdyż one stanowią „jedną reakcyjną masę“. To hasło „jednej reakcyjnej masy“, rzucone ongiś przygodnie przez Lasala, wydrwiwane przez Marksa i Engelsa, powtarzane bywa na Zachodzie tylko przez anarchistów lub płytkich agitatorów, pokrywających frazesem demagogicznym ubóstwo myśli. U nas w r. 1905 i 1906 uznawane ono było przez agitatorów lewicowych i esdeków niemal za ewangelię i zwracane przeciwko nam z okazyi zjazdu paryskiego i innych naszych usiłowań wytworzenia jakiegoś porozumienia się rewolucyjnego. Należało więc wyraźnie stwierdzić, iż partya socyalistyczna u nas może i powinna, jak na całym świecie, w pewnych wypadkach zawierać sojusze lub porozumiewać się z innemi stronnictwami, co też zostało przez zjazd wskazane. Jednocześnie zjazd określił, w jakich warunkach, w jaki sposób i z kim takie porozumienia mogą być dokonywane, aby nie wpływały one na osłabianie świadomości klasowej, o którą przedewszystkiem partyi socyalistycznej iść powinno.

Rezolucya w tej sprawie określiła zarazem stosunek nasz do polskich stronnictw politycznych. Co się rosyj-

skich tyczy, to zjazd zajął się wyjaśnieniem, dlaczego, wobec poglądów, panujących obecnie wśród towarzyszy rosyjskich, nie zawieramy z nimi sojuszów, oraz, jak potrzebną jest solidarna z nimi walka i współdziałanie.

Pomijamy pomniejsze rezolucye (stosunek do neoslawizmu, do projektu samorządu miejskiego itp.), które nie wywoływały na zjeździe większej różnicy zdań. Natomiast ważnem i koniecznem zadaniem było przystosowanie ustawy partyjnej do zmienionych warunków politycznych i policyjnych. Było ono ułatwione tem, że życie samo od dłuższego już czasu wprowadziło nową, nie pisaną ale przez wszystkich przestrzeganą ustawę, której części zostały nawet formalnie opracowane na różnych konferencyach partyjnych. Teraz mamy kompletną ustawę, która wyróżnia się w dodatku tem, że wprowadziła większą niż dawniej jednolitość w organizacyi partyi.

Wreszcie — jeszcze jedno zadanie leżało przed zjazdem. Należało zamknąć prowizoryczny okres, który zapanował w partyi po rozłamie. Partya podzieliła się wtenczas na dwie części. Jedna, korzystając z przysługującego jej formalnego prawa, opartego na posiadaniu większości na zjeździe, uznawała się w dalszym ciągu za jedyną P. P. S., — byli to umiarkowańcy. Druga więcej miała daleko faktyczych praw do tej nazwy, ale przez lojalność nie chciała jej sobie nadawać, póki w szeregach umiarkowańców znajdowało się jeszcze wielu byłych naszych towarzyszy, a program ich oficyalny podobny był do naszego. Gdy jednak umiarkowańcy na zjeździe swoim wyrzekli się tego, co stanowiło racyę bytu naszego, jako odrębnej partyi socyalistycznej, gdy zaniechali walki o niezależność polityczną a pod względem taktyki upodobnili się ślepo do jednej z frakcyj rosyjskiej socyalnej demokracyi, gdy pod wrażeniem tych zmian, opuściły je masy robotnicze i włościańskie, które nie widziały potrzeby ich istnienia, wtedy i w naszych szeregach powstała coraz intensywniejsza chęć zaniechania uznawania ich za część dawnej P. P. S. Wrodzone poczucie sprawiedliwości, cechujące zawsze walczące masy ludowe, nie pozwalało utrwalać nieporozumienia, które wprowadzało zamęt do umysłów robotniczych. To też wniosek uznania partyi naszej za jedyną spadkobierczynię dawnej P. P. S. przyjęty został jednogłośnie, a już poprzednio uchwalany bywał na licznych partyjnych konferencyach.

Zjazd nasz jedenasty odpowiedział zatem w zupełności nadziejom, jakie pokładali w nim towarzysze. Upo-

rządkował on stosunki organizacyjne, określił taktykę, wymaganą przez warunki zewnętrzne, stwierdził rolę, jaką odgrywać powinna partya socyalistyczna w kraju. Uchwały jego prowadzić nas będą, przez krwawe i bezlitosne walki, do ostatecznego zwycięstwa.

EGZEKUCYA.

Nieznanego wieszają rycerza,
Bohatera bez nazwy, imienia.
Kat już czeka. Z łoskotem uderza
Pluton w bębny. Lecz trwogi, wzruszenia
W jego twarzy nie dojrzysz ni cienia.
Niezłomnego wieszają rycerza,
Bohatera bez nazwy, imienia.

Kim jest, wrogom nie zechciał powiedzieć,
By wspólników, przyjaciół, rodziny,
Towarzyszy nie dać im wyśledzić.
Śmierć okrutną za groźne swe czyny
Sam ponosi, sam jeden jedyny,
Bowiem kim jest, nie zechciał powiedzieć,
By nie zdradzić przyjaciół, rodziny.

Za co? Za to, że mężne miał serce,
Poszedł wyrok wykonać ludowy
Na ciemiężcę, wolności mordercę;
Nie chciał szyi uchylić w okowy;
Za to, że był do ofiar gotowy,
Że gorące i mężne miał serce
I że wyrok wykonał ludowy.

Stoi blady, lecz zimny, spokojny;
Wie, że zemsty już bije godzina,
Że cóż? zmiennym los każdej jest wojny,
Lecz mężnego ze czcią świat wspomina.
Matka-ziemia przytuli, jak syna;
Przeto słucha skupiony, spokojny,
Jak mu w bębnach grzmi śmierci godzina.

Zmilkły bębny. Już w stryczku ma szyję.
„Precz z niewolą!“ do katów zawoła.
„Precz z niewolą! Swoboda niech żyje!“
Katów podłe zmarszczyły się czoła.
Zawisł... Cisza nastała dokoła.
Milczy zgraja. Choć stryk mu rżnie szyję,
Zda się „wolność niech żyje!“ wciąż woła.

Tak — niech wisi! Niech drewna szubienic
Wzwyż ku niebu ogromne z nim rosną —
Nad pól obszar, nad sznury kamienic,
Jak dzwon zemsty, gdzie pieśń bezlitosną
Wiatr na trupach wygrywa, aż z wiosną
Ludów zmilknie... Te drewna szubienic
W gnuśne mózgi, w krew, w serca niech wrosną!

Ale wisieć nie dali mu długo,
Strach swym budził upiornym widokiem.
Spieszą milczkiem z ostatnią posługą.
Doktór bada niechętnie, złem okiem,
Stwierdza: skonał. Tuż w dole głębokim
Grzebią ciało — pospiesznie, niedługo —
Strach swym budzi upiornym widokiem.

Nieznanego chowają rycerza,
Bohatera bez nazwy, imienia.
Ziemia z jękiem o ciało uderza,
O trup syna, co trwogi ni cienia
Nie znał, co był ze stali, z płomienia,
Trup najdroższej wolności rycerza,
Bohatera bez nazwy, imienia.

Joach. W.

Międzynarodowe zadania socyalizmu w oświetleniu rewizyonistów niemieckich.

Tow. Karol Leuthner, redaktor działu polityki zagranicznej w naczelnym organie austryackiej socyalnej demokracyi — „Arbeiter Zeitung“, wywołał ostatnio niezmiernie ciekawą dyskusyę artykułem, pomieszczonym w „So-

zialistische Monatshefte". Pismo to, które samo siebie nazywa „niezależnym organem dla teoryi i praktyki socyalizmu", jest, jak wiadomo, główną mównicą rewizyonistów. Leuthner pisuje tam stale, nieraz wypowiada poglądy dość paradoksalne, ale, trzeba przyznać, nigdy nie miał takiego „powodzenia", jak tym razem.

Idzie tu o artykuł p. t. „Naród panów i naród motłochu" (Herrenvolk und Pöbelvolk), pomieszczony w Nr. 8 „S. M." z tego roku. Tym „motłochem" jest według Leuthnera demokracya niemiecka, o ile zajmuje się ona sprawami zagranicznemi. W swej walce z rządem niemieckim zapomina ona często, że nie wszystko co ten rząd robi, musi być złem i że nie zawsze należy na rząd napadać. Tyczy się to zwłaszcza spraw zagranicznych. Opozycyjni pisarze niemieccy, chcąc sprzeciwić się zbrojeniom, militaryzmowi i wojnie, gotowi są w każdym wypadku przyznać słuszność państwom obcym, wrogo do Niemiec się odnoszącym, uwzględniają wszystkie ich pretensye, potępiają próby rządu niemieckiego sprzeciwiania się takowym, wreszcie dochodzą do tego, że uznają za swoje argumenty germano-fobskiej, szowinistycznej i rządowej prasy angielskiej, francuskiej i rosyjskiej, wogóle zaś mają poczucie tylko dla praw innych narodów, nie uwzględniając swego własnego.

„Nie znalazł się jeszcze polski reakcyonista — pisze tow. L. — któryby poniżył się do przebaczenia rozdarcia jego ojczyzny Fryderykowi za jego talenty wodza, Katarzynie za jej umiejętność panowania [1]); w Niemczech zaś są pisarze, którzy wprost uważają za niekulturalność i kołtuństwo zrzucenie przez ich naród obcych rządów wojskowych. Najpodlejszy gryzipiórek pisma panslawistycznego nie zgodziłby się służyć przeciwnikowi, gdy całe masy pism niemieckich w ten sposób robią politykę zagraniczną, że tłómaczą „Times", „Matin" lub „Nowoje Wremia". Albowiem nawet szowinizm tylko w tym wypadku jest zbrodnią, gdy jest szowinizmem niemieckim". (Str. 476).

Państwo niemieckie od 40 lat stoi na straży pokoju — mówi dalej Leuthner — niema zatem sensu mówić o jego dążnościach zaborczych. Wszechświatowa potęga Anglii oraz panslawizm daleko są niebezpieczniejsze dla międzynarodowego pokoju od dążności niemieckich, to też domaganie się od rządu niemieckiego, aby wstrzymał zbrojenie państwa, ra-

---

[1]) Tow. L. zbyt jest dobrego zdania o nas: nie zna naszych esdeków, którzy usprawiedliwiają rozbiory, jako zaranie nowego życia w Polsce, stworzenie w niej warunków dla rozwoju kapitalizmu i socyalizmu, a wszelkie dążenie do bytu niepodległego piętnują, jako zdradę interesów proletaryatu.

czej musi zaszkodzić, niż pomódz pokojowi, gdyż idzie na rękę zamiarom wrogów Niemiec. Kto mówi ciągle o niebezpieczeństwie inwazyi? — Anglia, nie Niemcy, i ona to, pod tym pretekstem, coraz bardziej powiększa swe zbrojenia. Wstrzymanie zbrojeń byłoby usankcyonowaniem przewagi angielskiej; byłoby czemś w tym rodzaju, jak gdyby kto po r. 1871 proponował Francyi, że ona i Niemcy zachowają swe armie w tym stanie, w jakim się znajdowały po Sedanie i kapitulacyi Paryża.

Tyle jest słów Leuthnera. Poglądy jego nie są całkiem pozbawione słuszności, o ile idzie o to, by socyaliści nie zajmowali się wyłącznie krytyką własnego rządu, ale zwracali uwagę i na zamiary sąsiadów, chciwych łupu, a często stojących na niższym stopniu kultury, zatem bardziej niebezpiecznych dla proletaryatu. Trzeba jednak przyznać, że w danym wypadku nie ma on najmniejszej słuszności. Jeżeli kto bowiem ma zamiary zaczepne, to właśnie Niemcy, a nie Anglia. Anglia nie ma nic do zdobycia na Niemcach: ich kolonie nie są warte grosza, a o podbojach terytoryalnych na narodzie 60-milionowym mowy przecież być nie może. Tymczasem Niemcy potrzebują koniecznie kolonij angielskich i zagarną je, gdy tylko będą miały moc potemu. Angielska polityka „osaczania“ Niemiec ma na widoku obronę własną i gdyby nawet przeszła do ofensywy, to tylko dla zapobieżenia napadowi. I gdyby socyalni demokraci niemieccy stanowili siłę prawdziwą, gdyby byli w stanie powstrzymać zapędy wojownicze niemieckich przemysłowców, to pokój między obu państwami byłby zapewniony.

Artykuł Leuthnera napsuł krwi wielu ludziom. Był on, co prawda, skierowany przeciwko „demokracyi“ niemieckiej, ale nikomu nie jest tajnem, że w Niemczech niema żadnej demokracyi, że przeto L. mógł mieć na myśli tylko socyalistów niemieckich. Posypały się artykuły przeciwko „Soz. Mon.“, skwapliwie przedrukowywane przez „Vorwärts“. Leuthner bronił się, jak zwykle cięto i dowcipnie, wynalazł jakieś piśmidło, które uznał za „demokracyę niemiecką“, ale nie wiele mu to pomogło. Został przez wszystkich „marksistów“ najuroczyściej w świecie potępiony. Argumentów ich powtarzać nie będziemy, może wrócimy kiedy do nich.

Co zaś warto streścić, to wynurzenia krytykujących Leuthnera rewizyonistów, którzy zabrali głos w tej sprawie.

Najbardziej „ortodoksalnie“ przemówił stwórca rewizyonizmu, Edward Bernstein. Polityka zagraniczna proletaryatu powinna przedewszystkiem mieć na oku utrzymanie pokoju. Co prawda, partye socyalistyczne nie są jeszcze w stanie tego dokonać, ale dążyć do tego powinny. Co się

Niemiec tyczy, to przemysł ich i handel znajdują sobie upust w innych państwach, bez szukania podbojów; świadczy o tem rosnący wywóz towarów niemieckich. Rosyi nie można brać za złe, jeżeli ujmuje się za Słowianami; nie trzeba zaraz uważać tego za panslawizm. Zaś Anglia broniła zawsze autonomii narodów uciskanych, co jest jej wielką zasługą; gdyby socyaliści niemieccy potrafili skierować ku temu politykę niemiecką, mogliby być z tego dumni.

Wszystko to wygląda pięknie, ale jest ogromnie naiwne. Jeżeli Rosya połknie Chiny, to skończy się eksport niemiecki do tego państwa, a wzdychanie „słowiańskich" serc rosyjskich nad uciskiem Serbów nie mogą przecież do niczego innego doprowadzić, jak do umieszczenia na dworcu belgradzkim napisu: „goworit' po serbski wospreszczajetsia" — o ile nikt Rosyi w jej pochodzie na Bałkan nie przeszkodzi. I angielska sympatya dla innych narodowości niekiedy dziwne formy przybiera, jak świadczy o tem obecnie przykład Persyi. Jedno co w tem prawdziwe, to, że Niemcy zawsze i wszędzie rolę kata odgrywały i dobrze to świadczy o sercu Bernsteina, że ono nad tem boleje. Niestety sam on przyznaje swoją w tej sprawie bezsilność.

W ślady Leuthnera idzie, nie cofając się przed żadnemi konsekwencyami, Max Maurenbrecher („Soz. Mon." Nr. 10) w artykule: „Polityka angielska, czy proletaryacka". Napada on na Anglię z największą gwałtownością, nazywa ją „burzycielką pokoju" (Störenfried) i wystawia żądanie, by flota niemiecka zrównała się z angielską! Trzeba sobie uzmysłowić, co to znaczy? Dzisiejsza flota angielska równa się niemieckiej i francuskiej, razem wziętym. Żeby zatem doścignąć swą rywalkę, Niemcy musiałyby wydać wprost bajeczną ilość miliardów marek, jeżeli zważyć przytem, że Anglia by swych zbrojeń nie powstrzymała. Znaczyłoby to kilkakrotne powiększenie budżetu floty, zaniechanie wszelkich wydatków kulturalnych w Niemczech, a co najważniejsze — niebywałe spotęgowanie wpływu reakcyi niemieckiej, która właśnie w całości zaakceptowała „bezbrzeżne plany" cesarza Wilhelma i marzy tylko o podbojach zamorskich. Wszystkiemu temu partya socyalistyczna powinna, zdaniem „towarzysza" Maurenbrechera, dać swą aprobatę!

Ale najdalej poszedł Gerhard Hildebrand („Soz. Mon." Nr. 11: „Bilans wszechświatowy"). Teza, którą on wystawia, stanowi rozwinięcie myśli Bernsteina, w duchu może jeszcze bardziej manczesterskim, charakterystyczne są zaś argumenty.

Wojownicza polityka zamorska, zdaniem H., miała może racyę bytu dawniej, gdy Niemcom groziło niebezpieczeństwo,

że inne państwa połkną tłuste kąski nieskolonizowanego jeszcze Wschodu. Ale dziś ten Wschód się budzi. Japonia wyemancypowała się, Chiny nie potrzebują obawiać się Rosyi, przeciwnie, zaczynają jej grozić i t. d. Niemcy mogą zatem spokojnie produkować, w tem przeświadczeniu, że towary ich w coraz większych ilościach iść będą za morze. A gdyby nawet kto zawojował jeszcze które z gorzej bronionych wschodnich państewek, to co z tego? „Rynek rosyjski w nieograniczonych rozmiarach może się dla nas rozszerzać, i gdyby nawet Rosya miała połknąć połowę Persyi — a zresztą kwestya perska bynajmniej dotąd nie jest rozstrzygnięta — to możemy jej tylko życzyć dobrego apetytu, nawet w tym wypadku, jeżeli Anglia zabierze resztę. Gdyż w ten sposób rozszerzy się jeszcze bardziej nasz rynek rosyjski i angielski". (Str. 668).

Trzeba przyznać, że do podobnego rozwydrzenia nie doszedł żaden, najbardziej umiarkowany rewizyonista francuski, włoski czy angielski. Tu już znika wszelki figowy listek polityki „wyzwalającego narody" socyalizmu, a widać tylko zwykłego „przemysłowca", dla którego jedyną wskazówką w polityce jest zysk. Co tego Hildebranda obchodzą jakieś Sattar Chany, parlamenty perskie i t. p.! — Owszem, niech ich jaknajprędzej na pal powbija Lachow czy Snarski, gdyż wtedy rozszerzy się rynek zbytu niemieckich produktów.

Wnioski H. wręcz są odwrotne wnioskom Leuthnera; zdaniem jego należy prowadzić politykę pokojową, nie zbroić się i nie powiększać floty. Jest to zatem to samo, co mówią marksiści. Ale wnioski te są zupełnie obojętne dla nas, wobec pobudek, które na nie wpłynęły. Rozumowanie H. nie różni się niczem od poglądów tej, i w Niemczech istniejącej, części burżuazyi, która nie życzy sobie wojny, owszem, zrzeka się czynnego udziału w polityce międzynarodowej, w swym klasowym, głęboko egoistycznym interesie.

Jednem słowem, jeżeli nieraz mieliśmy powody uskarżania się na zagraniczną politykę partyi niemieckiej, czyli jej ortodoksalnej większości, to trzeba przyznać, że to, co na to miejsce stawiają rewizyoniści, nie jest bynajmniej lepsze.

Co jest przy tem wszystkiem charakterystyczne, to, że artykuł Hildebranda skierowany jest przeciwko patryotycznym (na swój sposób) wynurzeniom Leuthnera i Maurenbrechera. Zaleca on manifestacye pokojowe, zamiast budowania nowych statków lub powiększania armii. Jest to też stanowisko „marksistów". Widzieliśmy jednakże, że motywy, które skłaniają H. do takiego zapatrywania, nic wspólnego z socyalizmem

nie mają. I należałoby zastanowić się, czy u niektórych innych przeciwników wojny na dnie serca nie leżą podobne argumenty?

Nie ulega wątpliwości, że główny kontyngent proletaryackich wrogów armii stanowią właśnie nieprzejednani przeciwnicy porządku dzisiejszego, rewolucyoniści, którzy chcieliby odebrać żołnierzowi broń po to, aby ją we własne dłonie ująć i przy jej pomocy czynu dokonać. Ale obok nich są masy ludzi, powodujących się przedewszystkiem instynktem samozachowawczym, którym nie w smak wyciągać grosze z kieszeni lub iść nadstawiać swą pierś pod bagnety. I choćby zupełnie pewnem było, że wojna da dobroczynne wyniki dla sprawy ludu pracującego, ludzie tacy będą się jej jednak sprzeciwiali. Dlatego też nie zawsze antymilitarny nastrój jest synonimem dążeń rewolucyjnych, o czem niestety nasi zachodni towarzysze skłonni są niekiedy zapominać. I z tego punktu widzenia dobrze się stało, że znalazł się taki Hildebrand, który dość był niezgrabny, by powiedzieć wyraźne, co myśli. Może skłoni to innych do zastanowienia się nad konsekwencyami pewnych teoryjek.

A. Wroński.

Z międzynarodowego ruchu zawodowego.

(Wstęp — 5 Sprawozdanie Międzynarodowego Sekretaryatu Związków Zawodowych — Szwecya przed lokautem — Konferencya Paryska).

Polityczne warunki kraju naszego nietylko nie pozwalają na swobodny rozwój życia związkowego, lecz tamują wprost wszelką pracę kulturalną. Prawda to znana i w oczy bijąca. W stosunku do spraw robotniczych, w stosunku do zrzeszeń zawodowych, polityka rządu carskiego w Królestwie Polskiem prześciga najśmielsze marzenia kapitalistów, fabrykantów i majstrów. Gdyby żył dziś Karol Marks, zapewne nie o Belgii, lecz o Polsce wypowiedziałby znane zdanie: „Kraj ten jest rajem dla kapitalistów!“

Swego czasu tow. Mostowicz dał na łamach „Przedświtu“ dość dokładny obraz stosunków związkowych w Królestwie Polskiem. Jakże jaskrawo odbijają na tle naszych walk z kapitałem, wspomaganym przez dziki rząd najezdniczy, sprawozdania z ruchu zawodowego w krajach konstytucyjnych i niepodległych, gdzie życie społeczne rozwijać się może swobodnie.

Niedawno opuściło prasę V. ogólne Sprawozdanie Międzynarodowego Sekretaryatu Związków Zawodowych, ułożone przez tow. Legiena na konferencyę Paryską[1]). W roku sprawozdawczym, organizacye zawodowe, funkcyonujące w 15 krajach, należących do Centralizacyi Związków Zawodowych, zrobiły znaczne postępy. Kiedy w roku 1906 ogólna liczba zorganizowanych zawodowo robotników i robotnic wynosiła 6,018.592 — w r. 1907 liczba ta wynosi najmniej[2]) 6,505.683. Na poszczególne kraje wypada:

	1907 r.	1906 r.
Niemcy . .	2,446.480	2,215.165
Anglia . .	2,106.283	2,106.283
Austrya . .	501.094	448.270
Włochy . .	387.384	273.754
Szwecya . .	**239.000**	**200.924**
Belgia . .	181.015	158.116
Węgry . .	142.030	153.332
Szwajcarya .	135.377	135.377
Holandya .	128.845	128.845
Dania . .	109.914	98.432
Norwegia .	48.215	25.339
Hiszpania .	36.612	32.405
Finlandya .	32.000	32.000
Bułgarya .	10.000	5.000
Serbia . .	5.434	5.330

Dodajmy do tego Kroacyę z 8.700 zorganizowanych zawodowo, dodajmy nie należące do M. Sekretaryatu Zw. Zaw., zawodowe organizacye: we Francyi 715.576 czł., w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej 1,586.885 czł. i w Australii 213.136 czł. — otrzymamy kolosalną armię zorganizowanych zawodowo robotników, wynoszącą w 19 krajach — 8,029.980 ludzi.

Jeno na Węgrzech liczba zorganizowanych robotników znacznie spadła. Tłómaczy się to dużą emigracyą robotników rolnych. Naogół związki zawodowe robotników wiejskich rolnych podlegają ciągłym zmianom i, nie posiadając elementu stałego, oczywiście nie są w stanie prowadzić skutecznie walki z wyzyskiem.

Ze zdziwieniem prawdziwem skonstatowałem, iż w an-

---

[1]) Cinquième Rapport International sur le Mouvement Syndical 1907. Publié par le Secrétaire International des Centres Nationaux des Syndicats. Berlin 1909.

[2]) Z tabliczki statystycznej widać jasno, iż wskutek niejednakowej metody w zbieraniu danych — liczby 1906 i 1907 r. w Anglii, Szwajcaryi, Holandyi i Finlandyi są jednakowe.

kiecie przeprowadzonej przez Międzynar. Sekr. Zw. Zaw. w sprawie długości dnia roboczego wśród robotników rolnych, niema żadnej wzmianki o Polsce. Czyżby wszystko zaprzepaszczająca „lewica“ nasza, zaprzepaściła również cenne kwestyonaryusze, wydane przez Wydział wiejski i wypełnione w liczbie kilkuset, w okresie walki strejkowej na wsi 1906 roku?

Nie możemy, rzecz prosta, streszczać sprawozdań z poszczególnych krajów. Zatrzymać się nieco dłużej chcemy nad sprawozdaniem Narodowej Centralizacyi Związków Zawodowych w Szwecyi, aby dokładniej uwidoczniły się te tytaniczne zapasy szwedzkich towarzyszy z lokautem fabrykanckim.

Gdy car-wieszatiel „odwiedzał“ niedawno Szwecyę, spodziewaliśmy się, iż proletaryat szwedzki zgotuje mu należne przyjęcie. Nie upłynęło 2 tygodni od tej hańbiącej wizyty, kiedy robotnicy szwedzcy rozpoczęli swą kolosalną walkę z kapitałem, walkę długo przygotowywaną, walkę nierówną, walkę, do której wszystkie swe siły proletaryat musiał gromadzić, aby z niej wyjść zwycięsko. -- Jasną jest tedy rzeczą, iż w przededniu tej kolosalnej wojny współczesnej, proletaryat szwedzki nie mógł rozpraszać swych sił na platoniczne strejki demonstracyjne, które tak lubili nasi pseudo-klasowcy. Bezsprzecznie obecność przez dni kilka na ziemi szwedzkiej cara-wieszatiela, podejmowanego gościnnie przez burżuazyę, niemało przyczyniła się do zwarcia szeregów proletaryackich.

Po wielkich strejkach 1905 r., kiedy szwedzcy towarzysze nie dali się zgnębić, rok 1906 przyniósł ogromny wzrost organizacyj zawodowych. Wzrost ten w r. 1907 przeszedł wszelkie oczekiwania. Sprawozdanie zaznacza, iż w znacznym stopniu dopomogła tu ogólna konjunktura przemysłowo-handlowa. Ekonomiczna sytuacya Szwecyi była świetna. Jednakże stopień uświadomienia robotników szwedzkich najbardziej przyczynił się do wzrostu organizacyj zawodowych.

Lat 8 upłynęło od założenia Narodowej Centralizacyi Związków Zawodowych w Szwecyi, podczas kongresu w Sztokholmie, gdzie 208 delegatów reprezentowało 24 organizacye centralne, 13 związków lokalnych i 19 zjednoczeń związków lokalnych z ogólną liczbą 50.000 zorganizowanych. Dziś N. C. Z. Z. w Szwecyi (Landsorganisationen i Sverge) obejmuje przeszło 200.000 robotników. W okresie pięcioletnim (1900—1905) liczba sekcyj podniosła się z 694 na 1.231. W ostatnich dwóch latach wzrost liczby członków jest większy, niż za cały ten okres. Przybyło w ciągu lat 1906 — 1907

aż 104.000 zorganizowanych! „Jak powódź wiosenna zalał kraj nasz ruch związkowy“, mówi sprawozdanie. Ilość zorganizowanych zawodowo robotnic w ciągu lat 2 potroiła się: w r. 1905 — 6.032, w r. 1907 — 16.883.

Nie wszystkie jednak związki zawodowe należą do Centralizacyi Narodowej. Oto Związek pracowników drukarskich odrzucił, większością coprawda 80 głosów tylko, przystąpienie do Centralizacyi. — Dopiero w roku 1907 Centralizacya pozwoliła sobie na agitatora płatnego, który też nie tracił czasu napróżno. W roku sprawozdawczym, pracował agitator ten 298 dni, odbył 205 zebrań rozlicznych, założył 25 nowych związków zawodowych i 2 komuny robotnicze. Centralizacya i poszczególne związki zawodowe wydały ogółem 60.000 koron na propagandę. Centralizacya zakupiła na pomieszczenie swych sekretaryatów wspaniały dom za 750.000 koron, z czego 400.000 koron wypłacono odrazu.

Przechodzimy teraz do najciekawszego miejsca w sprawozdaniu: strejki i lokauty. W roku 1907 prawie wszyscy robotnicy w Szwecyi probowali na drodze strejkowej polepszyć płacę i zmniejszyć dzień roboczy. Fabrykanci występowali zawsze odpowiednio, naogół jednak, pomimo długich lokautów, zwycięstwo było po stronie robotników. Szczególniej znamienny był lokaut krajowy pracowników wyrobów z gliny, zakończony 23. sierpnia, po 3 miesięcznem trwaniu, zupełnem zwycięstwem robotników. Prócz znacznego polepszenia płacy, z dniem 2. kwietnia 1910 roku w przemyśle tym zaprowadzony będzie 9-cio godzinny dzień roboczy.

Przeszło 28 przeróżnych organizacyj zawodowych przeprowadziło 1.136 zatargów z kapitałem. W zatargach tych wzięło udział 71.182 robotników. Stracili oni przez strejki 145.981 dni roboczych, przez lokauty 389.416 dni roboczych. — Niech nam wolno będzie w tem miejscu zwrócić uwagę na to „przysłowiowe próżniactwo“ robotników, którzy z powodu lokautów zmuszeni są stracić o 243.435 dni roboczych więcej, niż z powodu strejków. Na drodze walki strejkowej, otrzymano zwiększenie płacy w 99 wypadkach, skrócenie dnia roboczego w 58 wypadkach. Bez walki, t. j. bez porzucenia pracy, podwyżkę otrzymano w 646 wypadkach, skrócenie dnia roboczego w 416 wypadkach. — W chwili, gdy sprawozdanie szwedzkiego sekretarza związków zawodowych tow. Herm. Lindqvista było na ukończeniu, wybuchł w Szwecyi kryzys ekonomiczny. Fabrykanci, korzystając z przesilenia ekonomicznego, rozpoczęli brutalną walkę z organizacyami zawodowemi. Rezultatem tej walki jest olbrzymi lokaut w Szwecyi. Lokautowi temu poświęcimy osobny artykuł po ukończeniu strejku powszechnego.

Odbywająca się w Paryżu, przy końcu sierpnia, VI. Międzynarodowa konferencya Związków Zawodowych, przyjęła przed rozpoczęciem swych obrad właściwych znamienną rezolucyę z wyrazami sympatyi dla proletaryatu szwedzkiego oraz dla towarzyszy hiszpańskich i wypowiedziała nadzieję, „że zorganizowani robotnicy wszystkich krajów potrafią nie dopuścić do wojny, rozporządzając wszelkimi możliwymi środkami w tym celu“.

Konferencya Paryska, będąca sui generis międzynarodowym zjazdem robotniczym, miała tym razem podwójne znaczenie. Przedewszystkiem towarzysze francuscy z C. G. T. (z Powszechnego Związku Pracy), od dłuższego już czasu będący w zatargu z M. S. Zw. Zaw., siłą wypadków musieli ten zatarg załagodzić i przyjąć udział w konferencyi. Probowali oni coprawda wpakować pod obrady konferencyi ulubione swoje kwestye: antymilitaryzm i strejk rewolucyjny, bezskutecznie jednak. Dalej, po raz pierwszy, uczestniczył w obradach oficyalnie przedstawiciel Amerykańskiego Związku Pracy (American Federation of Labour) Gompers. Aczkolwiek nie doszło jeszcze na obecnej konferencyi do rzeczywistego przyłączenia 2 milionów blizko amerykańskich robotników do M. S. Zw. Zaw., tem nie mniej jednak z ostrożnych półzdań Gompersa można mieć nadzieję, iż w niedalekiej przyszłości afiliacya ta będzie miała miejsce.

W tonie obrad i rezolucyj tej konferencyi wybitnie zaznaczał się pierwiastek narodowościowy. Była to w całem tego słowa znaczeniu konferencya międzynarodowa, nie międzypaństwowa. Szanowano najmniejszą narodowość, podkreślano to nawet. Oto np. w sprawie Związków Zawodowych w Bośni, konferencya zaznaczyła, iż Bośnia ma nietylko prawo do autonomii związkowej, lecz do zupełnej niepodległości państwowej. Tow. angielscy bronili swej specyalnej, zupełnie zresztą niesłusznej sprawy, polegającej na utrzymywaniu zupełnej autonomii trades-unionów, nie pozwalającej na przyjmowanie do związków zawodowych angielskich, przybyłych obcokrajowców, chociażby ci ostatni byli członkami związków zawodowych u siebie w kraju i tylko czasowo zmuszeni byli emigrować do Anglii. Konferencya wypowiedziała się za bezwzględnem zniesieniem tego anachronizmu. W toku obrad nad tą kwestyą wyszło na jaw, iż w Paryżu istnieje specyalny związek zawodowy robotników niemieckich, którzy nie chcą łączyć się z francuską C. G. T. Otóż tow. Legien uroczyście zapewnił, iż M. S. Zw. Zaw. zmusi tow. niemieckich w Paryżu do afiliacyi z C. G. T.

Tow. duńscy wnieśli dwa przedłożenia: 1) O natychmiastowem komunikowaniu organizacyom narodowym wszel-

kich wiadomości, dotyczących poważnych zatargów klasy robotniczej z kapitałem w poszczególnych krajach; 2) o zorganizowaniu przez M. S. Zw. Zaw. w razach powyższych nadzwyczajnych konferencyj w celu pospieszenia z pomocą klasie robotniczej danego kraju. Przedłożenie pierwsze z małemi zmianami, wniesionemi przez tow. Belgów i Holendrów przyjęto, co do drugiego zadecydowano, iż jest ono przedwczesne ze względu na małą jeszcze spójnię międzynarodową poszczególnych organizacyj.

Trzeciego dnia obrad, na początku posiedzenia, odczytano depeszę od Narodowej Centralizacyi Związków Zawodowych w Szwecyi. Towarzysze szwedzcy usprawiedliwiają nieprzybycie swoje na konferencyę usilną pracą nad podtrzymywaniem strejku powszechnego, w którego ostateczne zwycięstwo klasa robotnicza w Szwecyi nie wątpi.

Przystąpiono do dyskusyi nad sprawą zaprowadzenia przez rząd niemiecki podwójnych kart legitymacyjnych, na sumę 7 marek = 8 fr. 75 centimów, dla robotników przybywających z Rosyi i Austro-Węgier. — Jest to sprytny środek w kierunku dostarczania łamistrejków. Utrudnia to pozatem swobodne przenoszenie się robotników z miejsca na miejsce. Burżuj-pasożyt może swobodnie przebywać w Niemczech, robotnik zaś ciężko pracujący na kawałek chleba musi opłacać podwójne karty legitymacyjne. Konferencya 9 głosami przeciwko 6 przyjęła rezolucyę, żądającą poruszenia tej sprawy przez posłów socyalistycznych w parlamentach państwowych. Tow. z C. G. T., a był tam, nawet przewodniczył obradom, słynny demagog Yvetot, nie omieszkali przy tej okazyi wyłuszczyć swoich zapatrywań na parlamentarną pracę posłów socyalistycznych, odsądzając tych ostatnich od czci i wiary.

W kwestyi łamistrejków przyjęto rezolucyę, która brzmi: konferencya potępia zachowanie się tych robotników, co zaangażowani przez międzynarodowe związki fabrykantów, wpływają na walkę strejkową zagranicą swego kraju, to bowiem zachowanie się jest wrogie interesom klasy robotniczej i dopomaga do zniszczenia poczucia międzynarodowej solidarności robotniczej. Konferencya potępia również działalność robotników - marynarzy, którzy podczas walki strejkowej robotników portowych, pełnili ich funkcye w porcie.

Konferencya zachęca Angielską Partyę Robotniczą do przeprowadzenia prawa, któreby karało sprowadzanie podczas strejku robotników obcokrajowych.

Sprawę walki bezpośredniej o 8 godzinny dzień roboczy polecono zbadać Sekretaryatowi.

W sprawie chałupnictwa, którą referował tow. Huys-

mans, sekretarz M. B. S., konferencya przyjęła rezolucyę, polecającą ustanowienie na drodze prawodawczej pewnych norm dla pracy domowej, jak uczyniono to z pracą fabryczną; kilku rezolucyami mniejszej wagi (wroga polityka klas posiadających w Turcyi, esperanto strejk w bulgarskich fabrykach zapałek) zakończono trzydniowe obrady, wyznaczając następną konferencyę na rok 1911 do Budapesztu. *Edw.*

Rusyfikacya w sosie kadeckim.

Wzrost nacyonalizmu stanowi jeden z najbardziej znamiennych objawów współczesnego życia rosyjskiego. Nacyonalizm zaborczy, zachłanny, bezwzględny, opanował dziś bardzo szerokie koła inteligencyi rosyjskiej, nie wyłączając liberalnych, konsekwentnie opozycyjnych w stosunku do rządu Stołypinów, Kokowcewów i Szwarców. Nietylko „czarna sotnia“ reprezentuje dziś nacyonalizm rosyjski, nietylko urzędowi „slawiści“ w rodzaju Filewiczów i Kułakowskich marzą o zlaniu się wszystkich „inorodców“ w jedno rosyjskie morze. To, co u czarnosecińców i prawicowców różnych odcieni posiada charakter brutalnie ludożerczy, co u takich „konstytucyonalistów“ w rodzaju Guczkowów i Chomiakowów przybiera charakter rosyjsko-hakatystyczny, to samo nierzadko można obecnie spotkać i u „demokratów“ obozu kadeckiego. Niedawno „Russkija Wiedomosti“ — organ liberalnych profesorów moskiewskich — cieszyły się, że projektowany uniwersytet wileński będzie spełniał szczytną misyę rusyfikacyi Litwy, a oto „Rjecz“ kadecka (Nr. 229) wystąpiła ze specyalnym artykułem, udawadniającym, że konstytucya prawdziwa potrzebna jest Rosyi po to, aby przetworzyć ludność kresów — Ukrainy, Syberyi, Polski, Azyi Środkowej, Kaukazu i Kraju Nadbaltyckiego — na Rosyan.

Treść tego artykułu tak jest charakterystyczna dla pisma, które je zamieściło i dla partyi, której to pismo jest urzędowym organem, że warto przyjrzeć się bliżej temu kadeckiemu projektowi „obrusienia“.

Autor artykułu — niejaki Borys Ałtajskij — rozpoczyna od stwierdzenia „faktu“, że ożywione stosunki ekonomiczne rozmaitych prowincyj Rosyi „stopniowo niwelują i łączą w jedną całość gospodarczą masy ludności naszego centrum i peryferyj, Rosyi i jej kresów“. Wywóz wyrobów fabrycznych i galanteryi Polski do wszystkich zakątków monarchii, zbyt na północy produktów ogrodniczej i plantacyjnej

kultury południa i t. d. i t. d. „wszystkie te i liczne inne czynniki rzeczywistości ekonomicznej ostatnich dziesięcioleci niewątpliwie prowadzą do tego, aby nasza rozsypana i ekonomicznie luźna ludność przekształciła się na mocny jednolity stop“. Ale, zanim to ostatnie marzenie p. Ałtajskiego stanie się rzeczywistością, musi on ze smutkiem patrzeć na coś, najzupełniej sprzecznego z jego teoryą „niwelacyi i łączenia w jedną całość gospodarczą“ Rosyi i jej kresów. Oto „tarcie między prowincyami, splecione z silną już u nas walką klas, zdaje się wypełniać treść naszego ekonomicznego i politycznego życia codziennego“. Tarcie to p. Ałtajskij przedstawia w następujący sposób:

„Moskwa i Łódź już walczą zacięcie o rynki... młynarze środkowego i górnego biegu Wołgi bronią niskich taryf zbożowych i milczą o taryfach mącznych, ponieważ dla nich potrzebne jest zboże południa i niebezpieczną jest południowa mąka. Południowcy - młynarze obijają progi kancelaryj petersburskich, kołacząc o obniżenie taryf od mąki... Rozmijają się interesy Uralu i jekaterynosławskiego okręgu metalurgicznego. Produkujące naftę Baku spotyka, jak się zdaje, niebezpiecznego konkurenta w osobie wołogdańskiego i północnonaduralskiego okręgu rzeki Uchty. Zboże syberyjskie, i tak już przyciśnięte odległościami, nie dopuszcza się do Rosyi, wskutek zachodów obszarników samarskich... Doskonała ryba syberyjska nie może przedostać się na rynki rosyjskie, ponieważ tu, na zachód od Uralu, oddawna ustalone są własne rynki, utworzył się własny, odrębny światek handlarzy rybą i przemysłowców rybnych“. „Procesy ekonomicznej walki między prowincyami są już u nas liczne i dość ostre“ — powiada p. Ałtajskij i trafnie stwierdza antagonizm ekonomiczny poszczególnych prowincyj Rosyi, mówiąc, że wynik tej walki „jednakowo interesuje wszystkie klasy danej prowincyi — jej burżuazyę, robotników, chłopów, mieszczan, właścicieli ziemskich i inteligencyę... Kiedy olbrzymie osady fabryczne Uralu cierpią głód wskutek tego, że huty uralskie zostały pobite na głowę przez konkurencyę południowców, kiedy gdzieś w Iwanowo-Wozniesieńsku zamyka się fabrykę i zwalnia się robotników wskutek zwycięstw łódzkich konkurentów - manufakturzystów, — wówczas niemało gorzkich łez się leje — i nawet krwi — w procesie tarcia między prowincyami“.

P. Ałtajskij nie jest ślepym, ażeby nie rozumieć, że antagonizm gospodarczy poszczególnych części państwa rosyjskiego potęguje się ich różnorodnością kulturalno - narodową. Mówi on: „Tarcia między prowincyami znane są i Europie Zachodniej, ale tam występują one słabiej skutkiem większej

różnorodności terytoryów i większej jednorodności ludności pod względem składu narodowo-kulturalnego... I tylko naszej organizacyi państwowej sądzonem jest formowanie stosunków ekonomicznych kraju o często jednorodnych terytoryach z rozmaitą ludnością. Jednorodność terytoryów produkcyi pcha je do konkurencyi, rozmaitość zaś poziomu narodowo-kulturalnego ludności potęguje tę konkurencyę".

Spostrzeżenia p. Ałtajskiego są zupełnie trafne. Istotnie Rosya jest sztucznym zlepkiem licznych terytoryów o sprzecznych ze sobą interesach i tendencyach gospodarczych, potęgowanych rozmaitością kulturalno-narodową. Człowiek, logicznie myślący, wysnułby z tych przesłanek wniosek, że antagonizm tych terytoryów o sprzecznych interesach ekonomicznych i dążnościach narodowych musi prowadzić konsekwentnie do rozkładu sztucznego zlepka, nazywającego się Rosyą. Ale trudno wymagać logiki od nacyonalisty rosyjskiego, jakim jest p. Ałtajskij. Wierzy on święcie w przekształcenie się Rosyi i jej kresów na „mocny jednolity stop", a ponieważ objektywne warunki rozwoju ekonomicznego tych krajów prowadzą w kierunku wręcz przeciwnym, więc nasz publicysta „kadecki" przywołuje na ratunek... konstytucyjny, prawdziwie-konstytucyjny, rząd rosyjski.

P. Ałtajskij biada nad tem, że „nad najbardziej skomplikowaną na świecie konjunkturą społeczno-ekonomiczną kraju o terytoryum 19 milionów wiorst kwadratowych z 40—50 milionami robotników płci męskiej stoi państwo, nie umiejące na razie, z tych czy innych względów, znośnie zorganizować sieć kolejową, policyę, sąd, szkolnictwo elementarne — konieczne czynniki szybkiego i taniego dla ludności rozstrzygnięcia rozpoczętej już walki między prowincyami". Rząd despotyczny, czy tam pseudo-konstytucyjny, nie da sobie rady z tymi antagonizmami ekonomiczno-narodowymi. Co innego „rzeczywisty, niefikcyjny ustrój prawny!" „Ten ustrój przyniósłby naszym prowincyom znośny transport parowy, lepszy sąd i bezpieczeństwo publiczne, wobec czego proces konsolidacyi tych prowincyj zakończyłby się szybciej i bez zbytecznych chorobliwych wykoszlawień".

Tu fantazya p. Ałtajskiego unosi go w dziedziny słodkich marzeń nacyonalistycznych na temat dalekiej przyszłości: „Ludzie rosyjscy i rosyjskie towary przenikają we wszystkie zakątki kraju; dawni tubylcy (starożiły-inorodcy) tracą bardzo dużo na każdym kroku z powodu niedostatecznej znajomości naszego języka i naszych warunków życiowych — tracą i Ukraińcy, i Litwini, i Czuwasze, i Tatarzy, i Gruzini, i Ormianie, i Kirgizi, i Buryaci — nawet Polacy w swych pogranicznych wschodnich połaciach. Kolonizacya rosyjska

rośnie obecnie we wszystkich czterech stronach świata i „inorodcy“ muszą bardziej przystosowywać się do nas, niż nasi rozchodzący się ludzie do warunków bytu inorodców“. Prawdziwem więc dobrodziejstwem dla wszystkich tych nieszczęsnych „inorodców“, będzie przyswojenie sobie języka rosyjskiego i rząd rzeczywiście - konstytucyjny potrafi postawić sprawę postępów tego języka na kresach daleko lepiej, niż obecny — fikcyjnie-konstytucyjny. P. Ałtajskij, jako „demokrata“ i „liberał“ jest tego zdania, że wszyscy ci Czuwasze, Ukraińcy, Ormianie, Buryaci — nawet Polacy prędzej przyswoją sobie język rosyjski, jeśli „będzie on u inorodców przedmiotem wykładu, a nie nieznanym dla uczniów językiem wykładu wszystkich przedmiotów“ i wierzy, że „odrodzenie ich własnego życia narodowo-kulturalnego“ przyczyni się do przyswojenia sobie przez nich języka rosyjskiego i nielicznych elementów kultury rosyjskiej“.

Zdawałoby się, że p. Ałtajskij jakby zapomina o celach nacyonalizmu rosyjskiego. Ale to jest tylko nieporozumienie. I konstytucya niefikcyjna, i szkoła narodowa „inorodców“, i odrodzenie ich życia narodowo-kulturalnego — wszystko to są środki do osiągnięcia ukochanego przez p. Ałtajskiego celu — owego „wszechrosyjskiego jednolitego stopu“. Ten ostatni zaś będzie miał charakter rosyjski, wielkorosyjski. „Nie ulega wątpliwości — powiada p. Ałtajskij — że Rosyanie nadadzą barwę zasadniczą, ton zasadniczy temu stopowi monolitowemu, w który przekształci się... nasza ludność, obecnie rozproszona, jak pył przydrożny... Ze wszystkiego można wnosić, że wiele sił rozwinie właśnie rosyjska czy wielkorosyjska narodowość i rozpuści ona w sobie koniec końców, zmieniwszy się sama w procesie rozpuszczania, wszystkie te ciała etniczne naszych kresów — Ukrainy, Syberyi, Polski, Azyi Środkowej, Kaukazu, Kraju Nadbaltyckiego“. Przychodząc do wniosku, który jest ideałem czarnosecińców, kadet Ałtajskij widocznie nie chce zasmucać owe „ciała etniczne“. Zapewnia więc je, że nie zginą bez śladu, bo narodowość wszechrosyjska na wzór owej pszczółki Gogola, która „od każdego kwiatuszka łapóweczkę bierze“, przyswoi sobie różne piękne rzeczy, które wytworzyły kresowe ciała etniczne. P. Ałtajskij zapewnia, że „w interesach i Rosyan i „inorodców“ leży, aby kulturalno-narodowe skarby rozwoju wiekowego tych ostatnich nie znikły bez śladu, lecz weszły jako elementy składowe do kultury narodu w s z e c h r o s y j s k i e g o — do jego psychologii, jego języka, jego obyczajów, literatury, prasy i t. d. Każdy trafnie dobrany wyraz, każdy sposób kulturalnego życia, wyprobowany przez jakąkolwiek z naszych narodowości kresowych, powinien być zachowany

w ogólno rosyjskiej syntezie wszystkich naszych narodowości kresowych". I właśnie dla utworzenia tej jakiejś dzikiej „syntezy" potrzebna jest p. Ałtajskiemu niefikcyjna konstytucya z doskonale zorganizowaną „siecią kolejową, policyą, sądem, szkolnictwem elementarnem i t. d." Niema co mówić, ponętne dla „narodowości kresowych" perspektywy maluje p. Ałtajskij w organie Milukowa! Wolimy już Mienszykowów i Kułakowskich, ci przynajmniej swych apetytów ludożerczo-rusyfikcyjnych nie przystrajają szychem obłudnej frazeologii pseudo-demokratycznej, pseudo-postępowej i pseudo-konstytucyjnej. *St. Os...arz.*

Narodowa Demokracya a wybory do Rady państwa.

„Koncentracya narodowa" była zwykłym humbugiem, zawsze stosowanym w praktyce Demokracyi Narodowej. Miała ona na celu jeno nadanie politycznej wartości wyborom do III Dumy; miała przedewszystkiem na względzie dodanie powagi 10 pionkom w rękach p. Romana Dmowskiego, jako delegatom „całego narodu", mężom zaufania wszystkich stronnictw „narodowych". Dla polityki bowiem przedpokojowej trzeba było takich „ogólno-narodowych" podpórek, by w razie potrzeby imponować Stołypinowi, oraz za maleńkie koncesye sprzedawać tego rodzaju ogólno - narodowy charakter endeckiego przedstawicielstwa w Dumie — Koła polskiego. Że, pomimo tej „koncentracyi narodowej", tam i ówdzie brutalnie zmajoryzowano skoncentrowanych ugodowców i postępowców (P. P. P.), że zbyt często gwałcono ze strony NDcyi punkty umowy koncentracyjnej, wszystko to było przecież drobnostką; szło bowiem o „wyższe interesy ogólno-narodowe", o zdobycie wszystkich mandatów dla endeckich zer politycznych, dla mężów zaufania tej „najprawdziwszej", „rzetelnej" partyi narodowej, tej „jedynej rzeczniczki ideałów i żywotnych interesów narodu". Istotnie, dzięki niezdarności rozmaitych wielkości realistycznych oraz „polsko-postępowych (P. P. P.)", mogła NDcya zagarnąć wszystkie mandaty poselskie dla swoich ajentów giełdziarskich i fabrykanckich, hodowców koni i bydła, krytyków literackich itp. mężów stanu, wchodzących dzisiaj w skład Koła polskiego. Dzięki politycznemu niewyrobieniu mas drobnomieszczańskich, dzięki łatwowierności polityków ugodowych i grupki tworzącej tak zwaną Polską Partyę Postępową, „Demokracya Naro-

dowa zorganizowała przedstawicielstwo w Dumie“, jak nazywa „Głos Warszawski“ ostatnie wybory, pod hasłem narodowego zjednoczenia dokonane.

Inaczej rzecz się przedstawiała z wyborami do Rady państwa. Koła wyborcze do tej moskiewskiej Izby lordów były ograniczone do garści wielkich i zamożnych obszarników, oraz fabrykantów i bankierów. Jeno przedstawiciele wielkiej własności ziemskiej, jeno delegaci wielkiego kapitału mieli w rosyjskiej Izbie wyższej zasiadać. W tych sferach przez długie, bardzo długie lata byli dawniejsi ugodowcy, dzisiaj politycy realni, jedyną partyą polityczną, której hasła, idee, wskazania praktycznej polityki żywy odgłos i wielkie uznanie znajdowały. Tutaj realiści mogli liczyć na zwycięstwo wyborcze bez uciekania się do kompromisu z NDcyą; liczyli, że przecież długoletnia praca wśród tych grup musiała pozostawić głębsze ślady, że żadne „niebezpieczeństwo endeckie“ w tych kołach wpływom partyi polityki realnej nie zagraża.

Demokracya Narodowa, stając się coraz bardziej stronnictwem ugodowem i kontrrewolucyjnem, jako „partya wszystkich stanów“, posiadając w swoich szeregach kilka energicznych jednostek ze sfer obszarniczych, po za tem, przez ciągłe ewolucye na prawo, stając się rzeczywiście stronnictwem chłopskiej krzywdy a obszarniczego dobrobytu, operując zręcznie patryotycznymi frazesami, poczęła powoli zdobywać wpływy i znaczenie wśród sfer obszarniczych, nawet posłuch w sferach arystokracyi rodowej, dla której polityka i to „demokratyczna“ była pewnego rodzaju nowym sportem. Oto przyczyny, dla których w szeregach NDcyi znalazły się i duże bardzo koła obszarnicze i czemu w naszem życiu politycznem spotykamy jako działaczów endeckich rozmaitych książąt i hrabiów: Lubomirskich, Zamoyskich, Tyszkiewiczów, których pieniądze i tytuły przydają się dla dekoracyjnej polityki NDcyi. Kiedy zaś polityka NDcyi w istocie swojej stała się szeregiem wystąpień w obronie interesów większej własności i przemysłu; kiedy bojówki endeckie walczyły przeciw strejkującym chłopom i robotnikom, kiedy po za tem NDcya przez czynne zwalczanie rewolucyjnych walk ludu polskiego stała się, tem samem, schronieniem dla warstw społecznych, które się tych walk obawiały, wówczas wpływy NDcyi wśród klasy obszarniczej wzrosły na tyle, że mogła ona skutecznie przeciwstawiać się ugodowcom we wszystkich dziedzinach zbiorowego życia naszej klasy wielkich i większych właścicieli ziemskich. Liczne przykłady takiego stanu rzeczy dawały chociażby wybory do rad szczegółowych Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

Sytuacya przedwyborcza przy pierwszych wyborach do

Rady państwa była tego rodzaju, że realiści, licząc ciągle na swoje wpływy wśród sfer obszarniczych, nie chcieli zawierać kompromisów wyborczych z NDcyą, gdyż wymagałoby to odstąpienia kilku mandatów endekom, z drugiej zaś strony NDcya w swojej pogoni za mandatami, w dążności do uchwycenia w swe ręce wszystkich instytucyj, miejsc, posad i korzyści, nie chciała wypuścić bez walki z rąk swych 6 krzeseł w Radzie państwa. Wynikiem takiego układu ambicyj i apetytów była walka wyborcza. Kiedy żadne ze stronnictw „narodowych“ nie chciało targować się ze sobą, nie chciało ustąpić jedno drugiemu, albowiem jak ugodowcy tak i endecy liczyć mogli na sukces wyborczy, wówczas koncentracya „narodowa“ okazała się zbyteczną zabawką, którą można było porzucić, wybory natomiast odbywały się już nie pod hasłem „solidarności narodowej“, a przeciwnie p o t r o s z e (!) pod hasłem walki partyjnej. „Pierwsze wybory do Rady państwa — pisze „Głos Warszawski“ Nr 255 r. b. — w naszym kraju odbyły się potrosze pod hasłem walki partyjnej. W tej walce nie chodziło o ścieranie się programów działalności w Petersburgu, ale o uwydatnienie stosunkowej siły stronnictw w kraju. Demokracya Narodowa postawiła sobie za cel wykazać, że Stronnictwo Polityki Realnej, opierając się na większej posiadłości rolnej, nawet w tej warstwie nie ma większości w kraju“.

Istotnie, ciekawem bardzo jest przyznanie się NDcyi, że prowadziła walkę wyborczą pod hasłem „walki partyjnej“ (wprawdzie stara się złagodzić to twierdzenie skromniutkiem: „potrosze“), pomimo, że ciągle i zawsze rzucało to stronnictwo obłudy i ugody gromy na tych, którzy nie chcieli się podnieść do wysokości „etycznego“ stanowiska endeckiej solidarności narodowej. A ciekawszym jeszcze bardziej jest fakt, że w tej walce nie chodziło wcale o ścieranie się programów działalności, albowiem jest to wyraźnem wskazaniem, iż NDcya jako „demokratyczna“ partya „narodowa“ polska, a co za tem iść powinno, wroga absolutystycznemu rządowi rosyjskiemu, nic do powiedzenia nie miała i nie chciała mieć o programie działalności realistów, o programie uległości i ugody. Nie powiedziała zaś nic przeciw ewentualnej ugodowej robocie realistycznych członków Rady państwa dlatego, że sama już wówczas stosowała te same metody akcyi politycznej, że wówczas ideowem podłożem wystąpień i zamierzeń NDcyi był ten sam kierunek przystosowania się i uległości, na jakim budowaną była polityka stronnictwa ugodowego. Nie było już wtedy żadnej różnicy pomiędzy akcyą endecką a akcyą ugodową; obie były bowiem ugodowe.

Większa własność Królestwa Polskiego znajduje się dzisiaj w przededniu nowych wyborów do Rady państwa. Będą

to drugie ogólne wybory do tego „prawodawczego“ ciała rosyjskiego. Przy pierwszych wyborach mandaty otrzymali ugodowcy: J. Ostrowski, E. Dobiecki i baron L. Kronenberg, oraz endecy: St. Gawroński, K. Przewłocki i A. Napiórkowski. Kiedy Ostrowski i Gawroński złożyli mandaty, odbyły się wybory uzupełniające, na których stanowisko NDcyi bardziej jeszcze się wzmocniło, obrano bowiem M. Skarzyńskiego endeka i hr. H. Potockiego, wprawdzie realistę, jednak skłaniającego się ku NDcyi. Ci posłowie do Rady państwa utworzyli specyalne Koło, na czele którego stanął realista Ostrowski, po jego zaś ustąpieniu realista Dobiecki, znany filar ugody warszawskiej. Przyznać trzeba, że z pośród obranych „radców państwowych“ Ostrowski i Dobiecki byli najbardziej wykształconymi politykami, mając już swoją polityczną przeszłość, jako kierownicy stronnictwa ugodowego. Reszta to zwykłe pionki, nie posiadające żadnego wyszkolenia politycznego, żadnych wpływów, bez inicyatywy i zdolności. Przyznaje to nawet sama NDcya. „Jakkolwiek — pisze „Głos Warszawski“ Nr 255 — dotychczasowa działalność Rady państwa nie dostarczyła materyału do zdania sobie sprawy z wartości przedstawicielstwa naszego w tej Izbie (Radzie państwa), to jednak można się było zoryentować, kto w tem przedstawicielstwie stanowi siłę wybitniejszą, bardziej samodzielną, odpowiadającą więcej od innych warunkom pracy na tym terenie. To jest niewątpliwe, że jak tego zresztą należało oczekiwać — takie wyróżniające się stanowisko wśród naszych członków Rady państwa zajmowali pp. Józef Ostrowski i Eustachy Dobiecki.“ Działalność zaś ta, zdaniem naczelnego organu NDcyi, nie mogła być owocną i wieloraką dlatego, że siłą warunków rola Rady państwa zredukowała się do roli Izby wyższej, do kontroli i regulowania działalności ustawodawczej Dumy:

„Dotychczas — pisze „Głos Warszawski“ — przez Izbę państwową nie przeszły żadne, szerszego znaczenia ustawy, dotyczące bezpośrednio naszego kraju i naszego narodowego interesu; nawet w zakresie ogólno - państwowym zajmowała się ona głównie ustawodawstwem podrzędniejszego znaczenia, ze spraw zaś poważniejszych poświęcała swój czas ustawie rolnej, obchodzącej prawie wyłącznie Rosyę właściwą. Nie przeszły tedy z niej dotychczas do Rady państwa takie ustawy, któreby ogół nasz bardzo żywo interesowały i których losy miałyby dla niego pierwszorzędne znaczenie. Skutkiem tego dotychczasowa praca naszych członków Rady państwa nie mogła skupiać na sobie uwagi ogółu. Rola ich stanie się ważniejszą wtedy, gdy Izba państwowa uchwali prawa, mające dla nas poważniejsze znaczenie i gdy wejście tych praw w życie

będzie zależało od tego, jaki los je spotka w Radzie państwa" (podkr. nasze). A ponieważ odpowiedzialna praca w Radzie państwa dopiero prawdopodobnie się rozpocznie, więc „wśród NDcyi — według „Głosu Warszawskiego" — niema obecnie kandydatów, uważających pracę w Radzie państwa za teren dla siebie odpowiedni". Wobec tego ogłasza główny organ endecki, iż przy nadchodzących wyborach NDcya nie stworzy swojej organizacyi wyborczej, nie postawi swojej listy kandydatów. Obsadzenie sześciu foteli w Radzie państwa pozostawiają endecy stronnictwu polityki realnej — politycznym współwyznawcom pp. Ostrowskiego i Dobieckiego.

Nie przytoczyliśmy wcale wykrętnej argumentacyi organu ugodowo-wszechpolskiego, dotyczącej składu Rady państwa i jego regulaminu, które rzekomo uniemożliwiały i uniemożliwią polskim rajcom państwowym owocną działalność. Główne znaczenie bowiem ma dla nas sama ostateczna konsekwencya całego tego rozumowania, mianowicie powstrzymanie się od wyborów i dobrowolne oddanie wszystkich mandatów — ugodowcom.

Przewodnią nicią w dotychczasowej polityce NDcyi i Koła polskiego względem rządu była droga konszachtów, targów, była polityka „bez zastrzeżeń". Częstokroć Koło polskie w swoich uczuciach wiernopoddańczych licytowało się zajadle ze sferami, stojącemi po za reakcyą październikowców. Częstokroć swojem lojalnem wobec caratu i państwa rosyjskiego stanowiskiem zyskiwało żywy poklask u bardziej umiarkowanych grup prawicy dumskiej. W wielu wypadkach spotykaliśmy się z wyrazami uznania dla „rozsądnej" (czyli ultraugodowej) polityki Koła polskiego na łamach „Nowego Wremieni". Wszystko to miało na celu przekonanie rządu, że Koło polskie, jako dumska ekspozytura Demokracyi Narodowej, a co za tem idzie i sama NDcya są to ludzie i grupy, lojalne względem rosyjskiej państwowości, ugodowe względem rządu, że jednem słowem, stronnictwo ND. jest czynnikiem, z którzym rząd i Stołypin może i powinien zawrzeć polityczny pakt, że małe koncesye w rodzaju samorządu scentralizowanego wystarczą, by Koło polskie otwarcie wystąpiło jako oddana rządowi grupa w Dumie państwowej. Cała dotychczasowa polityka Koła polskiego jest jeno szeregiem przykładów wyraźnych, ilustrujących słuszność powyższego twierdzenia. Ale im bardziej nikczemne formy przybierała ugodowa taktyka NDcyi i Koła polskiego, tem bezwzględniejszy był rząd w stosunku do Polaków, tem brutalniejsze były prześladowania rządowe. Rząd rosyjski nigdy przytem nie traktował NDcyi, względnie Koła polskiego, jako poważny czynnik po-

lityczny, nigdy nie uważał ich za solidne grupy polityczne, z któremi pertraktować możnaby było. Kiedy sobie uprzytomnimy całą obłudną akcyę narodowo - demokratyczną, wieloprogramowość oraz wielozmienną taktykę tej partyi, kiedy uprzytomnimy sobie równoległą rewolucyjność i niepodległościowość NDcyi dla chłopów i robotników, zaś reakcyjność i ugodowość względem obszarników i fabrykantów, bezwyznaniowość—z szerzeniem klerykalizmu, głoszenie umiłowania Polski z carosławną akcyą w Petersburgu, wówczas istotnie przyznać trzeba, że w całej działalności politycznej NDcyi w latach ostatnich niema absolutnie takiego momentu, któryby pozwalał traktować ją jako solidną partyę zasad, jak polityczną grupę ludzi uczciwych. Wszędzie była jeno obłuda, obłuda i raz jeszcze obłuda. Jeżeli rząd rosyjski w pewnym momencie politycznym zechce oprzeć się na jakiemś stronnictwie polskiem, to w żadnym razie nie będzie niem Demokracya Narodowa, pomimo usilnych jej starań, jeno ugodowcy. Można bowiem nie zgadzać się zupełnie na kierunek i metodę polityki realnej, można być politycznym i społecznym wrogiem ugodowców, ale przyznać trzeba, że bądź co bądź są to ludzie szczerze i otwarcie głoszący swoje zasady, że są partyą polityczną przekonań, że są solidnem ugrupowaniem politycznem, aczkolwiek, z punktu widzenia interesów polskiego ludu, ugrupowaniem szkodliwem.

Nieuznawanie NDcyi przez rząd, jako czynnika politycznego, na który się oprzeć można, jest faktem zbyt widocznym nawet dla kierowniczych sfer narodowo - demokratycznych. Zważywszy przytem, że NDcya w swoich ciągłych wystąpieniach na wiecach przedwyborczych i łamach swoich pism partyjnych warszawskich oraz prowincyonalnych, jak na demagogiczną grupę przystało, poczyniła pełno obietnic tyczących się nietylko polepszenia warunków społeczno-politycznego życia Królestwa Polskiego, ale nawet osiągnięcia szeregu nowych zdobyczy narodowo-politycznych, że przesiąknięta zupełnie ideologią niewoli i niemocy, liczy jeno na osiągnięcie minimalnych ustępstw rządowych, jedynie drogą wyproszenia ich u rządu, wówczas jasnemi zupełnie będą istotne przyczyny, jakie kierują NDcyą w proklamowaniu abstynencyi wyborczej przy nadchodzących wyborach do Rady państwa.

Pamiętamy wszyscy ostatni zjazd Demokracyi-Narodowej w Pałacu Błękitnym w Warszawie. Było to nazajutrz po szeregu wystąpień p. Dmowskiego w Dumie, które otwarcie głosiły politykę „bez zastrzeżeń“. Było to również tuż po odpowiedzi, jaką rząd stołypinowski udzielił Dmowskiemu i Kołu polskiemu, wnosząc projekt oddzielenia Chełmszczyzny do Dumy państwowej. W gościnnych salonach swego politycznego

współwyznawcy Maurycego hr. Zamoyskiego zebrała się starszyzna endecka, by zdecydować się na złożenie mandatów i oddanie ich ugodowcom. Wówczas naczelnym motywem, jakim się uczestnicy zjazdu endeckiego kierowali, było rozpoczęcie rokowań zakulisowych ze Stołypinem, za pośrednictwem nowego, czysto ugodowego Koła polskiego. Jeżeli zaś wówczas do takiej zamiany mandatami en masse nie przyszło, to jeno z przyczyn czysto formalnych; jak wiadomo, Stołypin nie przystał na rozpisanie nowych wyborów do Dumy. Dzisiaj ten sam motyw zmusza NDcyę do abstynencyi wyborczej, do porzucenia wygodnych foteli w Radzie państwa, dla zdobycia których trzeba było „potrosze" hasła walki partyjnej schować. I kiedy po zebraniu w Pałacu Błękitnym twierdziła NDcya, jak zwykle obłudnie, że zatrzymanie mandatów, to z jej strony czyn rewolucyjny, to dowód walki z rządem, tedy dzisiaj, porzucając „obowiązki poselskie" w Radzie państwa, z tych samych co wówczas przyczyn, twierdzi obłudnie, że „takie rozwiązanie kwestyi obecnych wyborów do Rady państwa najlepiej odpowiada dzisiejszym stosunkom politycznym u nas".

Tak samo, jak zły czyn, pociąga zła i obłudna, a przytem naiwna, polityka Demokracyi Narodowej za sobą przekleństwo. Jednem z pierwszych przekleństwa tego przejawów — to powstrzymanie się od wyborów.

Maluczko, a wnet i inne przejawy staną się widocznymi zjawiskami w politycznem życiu tej partyi publicznej niemoralności. *Józef Mostowicz.*

Echa naszego zjazdu partyjnego w prasie codziennej.

Pierwszym dziennikiem, w którym zjawiła się wiadomość o naszym zjeździe, był „Naprzód" krakowski. Zamieścił on obszerne sprawozdanie ze zjazdu, streścił powzięte przezeń uchwały i scharakteryzował jego znaczenie w życiu socyalizmu polskiego. Właściwe sprawozdanie zostało poprzedzone wstępem historycznym, malującym przebieg rozwoju P. P. S., jej rolę podczas ruchu rewolucyjnego i dzieje rozłamu.

„Doniosłem znaczeniem w historyi polskiego socyalizmu jest świeżo odbyty XI zjazd P. P. S. zaboru rosyjskiego — pisze „Naprzód" (Nr 262). — Od tego zjazdu datować będzie

przyszły dziejopis partyi okres renesansu P. P. S. Te trzy ogniste litery na czerwonym sztandarze wiodły przez kilkanaście lat zastępy proletaryatu polskiego w Królestwie do walki z przemocą, z najazdem, z kapitalistycznym wyzyskiem i z dzisiejszym niesprawiedliwym ustrojem społecznym. I sztandar ten uważał robotnik polski za swój własny, wierzył niezłomnie, że ta

chorągiew go nigdy nie zdradzi,
w dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi!

„I partya ta, założona w r. 1892, z biegiem lat rosła w potęgę i wybuch rewolucyi zastał ją silną i sprawującą rząd dusz w najszerszych masach. Pamiętamy żywo owe dni rewolucyjne, w których P. P. S. miała w ręku faktyczną dyktaturę nad całem społeczeństwem; wszyscy w nią wierzyli, wszyscy widzieli przewodniczkę narodu w tej partyi, która jedyna przez tyle lat niewzruszenie dzierżyła wysoko sztandar niepodległości.

„Ale właśnie, kiedy partya ta doszła do szczytu potęgi, pojawiły się w jej łonie zarodki rozłamu. Wzbierające fale ruchu rewolucyjnego naniosły do niej różnorodne żywioły, nowe, niezżyte z partyą, z jej celami i istotą wewnętrzną. Wzrostowi każdej partyi, jeżeli wzrost ten jest nagły, towarzyszy podobne zjawisko, które w czasach niespokojnych, przełomowych, może przybrać charakter tragiczny. W łonie P. P. S. nastało tedy rozdwojenie, które się fatalnie odbiło na polityce partyi i, co za tem idzie, na jej wpływie. Zaostrzało się ono coraz bardziej, zatruwając życie partyjne, aż wreszcie w chwili, gdy rewolucya skrwawiona wydawała ostatnie tchnienie, pod koniec 1906 roku doszło do rozłamu w obliczu tryumfującej reakcyi... Była to jedna z najsmutniejszych kart w dziejach polskiego ruchu robotniczego.

„Rozłam dokonał się na tle programowem: ci, którzy ideowo zbliżyli się do grupy t. zw. esdeków i uznali, że proletaryat polski powiniem się pogodzić z istniejącym stanem rzeczy, z podległością narodu polskiego i nie walczyć o niepodległość, utworzyli frakcyę zwaną „lewicą"; ci zaś, którzy wierni zasadom i tradycyi partyi od jej założenia nieśli przed polską klasą robotniczą sztandar niepodległości, zgrupowali się jako „frakcya rewolucyjna". Stary zatarg, który niejednokrotnie toczył się w Polsce około pytania: z zachodem, czy ze wschodem? z Europą, czy z Rosyą? przejawił się tu także w partyi robotniczej.

„Powstały tedy obok siebie dwie P. P. S., a właściwie znikła dawna, silna P. P. S., mająca bezwzględne zaufanie

u mas robotniczych, a powstały dwie frakcye, zużywające swe siły w znacznym stopniu na wzajemne zwalczanie się. „Przez półtrzecia roku trwał ten przykry, smutny stan rzeczy. Tymczasem jedna frakcya zwolna upadała, druga rosła. A gdy „lewica“ opracowała sobie i przyjęła nowy program, w którym wyrzeczono się dążenia do niepodległości narodowej, z tą chwilą przerzedziły się do reszty szeregi tej frakcyi; w końcu ustały w kraju zupełnie znaki życia z jej strony. Druga zaś frakcya rozwijała coraz żywszą działalność, przystosowując ją do obecnych niezmiernie trudnych warunków, stworzonych przez szalejącą reakcyę; rosła więc w siły i wpływy „frąkcya rewolucyjna“, aż wkońcu znalazła się na placu sama, bez współzawodniczki. Przestały istnieć dwie frakcye: została tylko jedna; resztki zaś drugiej, odstąpiwszy zupełnie od idei pepeesowej, siłą konieczności ciążą do zlania się z grupą esdecką, co, jak z pewnych oznak wnosić można, jest już tylko kwestyą niedługiego czasu; to ich los nieuchronny.“

Za „Naprzodem“ podał sprawozdanie ze zjazdu i bratni nasz organ lwowski „Głos“. I prasa burżuazyjna uznała, że zjazd nasz jest wypadkiem, na który nie podobna nie reagować. To też dzienniki, przedewszystkiem galicyjskie, poświęciły mu szereg artykułów. Dzienniki demokratyczne podały zupełnie objektywne sprawozdania, podkreślając znaczenie zjazdu. Tak uczyniła „Nowa Reforma“ (Nr 429), która w artykule p. t. „Odrodzenie P. P. S.“ dokładnie streściła na podstawie informacyj „Naprzodu“ sprawozdanie ze zjazdu. Tak uczynił organ ludowców, „Kuryer Lwowski“ (Nr 439), który poprzedził sprawozdanie ze zjazdu, zatytułowane „Reorganizacya P. P. S.“, następującym ustępem informacyjnym: „Na odbytym niedawno zjeździe „frakcyi rewolucyjnej“ P. P. S. zaboru rosyjskiego nastąpiła reorganizacya stronnictwa. Jak wiadomo, pod koniec r. 1906 nastąpił rozłam w stronnictwie na dwa obozy: ci, którzy uznawali, że proletaryat polski powinien się pogodzić z istniejącym podówczas stanem rzeczy, a więc ideowo zbliżali się do programu „s-d“eków, utworzyli t. zw. „lewicę“ w partyi — skrajniejsza zaś część ukonstytuowała się jako frakcya rewolucyjna z programem czynnej walki o niepodległość. Ostatnie trzy lata wykazały, że siła partyi właściwa była w grupie drugiej — „lewicowcy“, tracąc coraz to więcej zwolenników, stopnieli i wsiąknęli zupełnie w „socyalną demokracyę“. Na odbytym też przed kilku dniami II zjeździe „frakcyi rew.“, który proklamowano jako XI zjazd P. P. S., stwierdzono zaszłe w partyi faktyczne zmiany przez powrót do dawnej nazwy z opuszczeniem „fr. rew.“. Odtąd

więc partya stoi na tem samem stanowisku, co przed laty 17, t. j. w roku założenia.“ Lwowski „Wiek Nowy“ (Nr 2462), na podstawie „Robotnika“ streszcza pokrótce uchwały naszego zjazdu, podkreślając fakt, że zapadły one „w chwili, kiedy paroksyzm szalejącej reakcyi Aziewo-Stołypinowskiego rządu usiłuje zniweczyć malejące z dniem każdym resztki zdobyczy ruchu rewolucyjnego, w chwili zamknięcia „Tow. wpisów szkolnych“ itd. itd.“

Burżuazyjna prasa demokratyczna potraktowała tedy nasz zjazd zupełnie objektywnie, informując bezstronnie czytelników o jego wynikach. Zupełnie odmiennie znalazła się prasa stańczykowska, narodowo-demokratyczna, antysemicka i rynsztokowa. Ta się rzuciła na nas z całą zaciętością, biorąc jednocześnie w obronę b. Frakcyę Umiarkowaną. Aniśmy się spodziewali, że ta ostatnia posiada tak gorących zwolenników w „Głosie Narodu“ lub „Czasie“. Stańczykowski „Czas“ (Nr 214) rozdziera szaty z powodu tych okropności, jakie mają spaść na kraj wskutek uchwał zjazdu naszego: „Jeżeli — pisze on — część P. P. S., uznawszy się za równą całości, ma zamiar istotnie sięgnąć znów po brauningi, to Królestwo może przygotować się na nowe demonstracye, utrudniające działalność żywiołów twórczych społeczeństwa, a wychodzące na korzyść biurokracyi rosyjskiej, która niczego innego pragnąć nie może, jak choćby pozorów „miatieży“. Doświadczenia lat ostatnich przeszły bez śladu w obozie frakcyi rewolucyjnej, która jeszcze nie przejrzała i zamierza dalej szafować krwią robotnika polskiego dla rewolucyjnych utopij.“ „Czas“ pociesza się jednak, przypomniawszy sobie o b. Fr. Umiarkowanej. Pisze on: „W stosunkach faktycznych niczego to, oczywiście, nie zmienia i, jeżeli „lewica“ ma dostateczną liczbę zwolenników, to zaprotestuje przeciw przywłaszczeniu sobie firmy przez F. R., zwłaszcza, iż stało się to jednem gołosłownem oświadczeniem: „jedyną P. P. S. jest partya nasza“. Antysemicki „Głos Narodu“ nie czeka, aż grupa b. „Myśli Socyalistycznej“ zdobędzie się na protest, ale protestuje s a m w jej zastępstwie — w artykule „Smutny renesans“ (Nr 258). Po wyjaśnieniu, dlaczego renesans ów dla „Głosu Narodu“ jest „smutny“, organ antysemitów pisze: „...przybranie nazwy P. P. S. przez F. R. oznacza tylko jeszcze jedną ekspropryacyę, dokonaną przez tę grupę. Tym razem wywłaszczono własnych najbliższych przyjaciół — z głównego zarządu partyi, którzy po secesyi pozostali w P. P. S., dotychczas istnieją, i nie mają wcale zamiaru wyrzekać się ani swej nazwy, ani swego programu... faktem jest, że owa lewica stanowiła i stanowi dotychczas właściwą polską partyę socyalistyczną —

a frakcya rewolucyjna składa się z secesyonistów, którzy do tej nazwy partyjnej żadnego prawa nie mają. Uznanie zatem tej frakcyi za „polską partyę socyalistyczną“ przez jakiś bezimienny zjazd, jest humbugiem, obliczonym na obałamucenie opinii publicznej, a w stosunku do istniejących partyj politycznym bandytyzmem.“ Zamanifestowawszy w ten sposób swą sympatyę dla grupy b. „Myśli Socyalistycznej“, „Głos Narodu“ tak straszy dewotki i majsterków, czytających ten zacny organ: „...frakcya rewolucyjna ma zamiar i nadal uprawiać system krwawych ekspropryacyj, które pogrążyły Królestwo Polskie w odmęt zbrodniczego bandytyzmu i sprawie narodowej przyniosły nieobliczalne szkody. Dla tych niepoprawnych burzycieli nauki przeszłości nie istnieją, a że interes narodowy jest im obojętny, należy zatem oczekiwać nowych gwałtów, nowego teroru i nowych bezpożytecznych a kosztownych ofiar... Taki będzie „renesans“ P. P. S.“ Stylem esdeckim przemawia i rynsztokowe pisemko krakowskie — antysocyalistyczne „Nowiny“ (Nr 214) w artykule o soczystym nagłówku „Szaleńcy i głupcy czyli „Odrodzenie P. P. S.“ Konkluzyą całego artykułu jest jego ustęp końcowy: „Nieuleczalni bojowcy, z po za których wyłania się cień Aziewa, szpiega-prowokatora i wodza rewolucyi, będą więc dalej operowali na terenie Królestwa!“. „Nowiny“ są jedynym dziennikiem antysocyalistycznym, który nie bierze w obronę b. Frakcyi Umiarkowanej. Natomiast organ p. R. Dmowskiego, „Głos Warszawski“ (Nr 260), bardzo się troszczy o to, jak grupa b. „Myśli Socyalistycznej“ zareaguje na odrodzenie P. P. S., spodziewając się widocznie, że takie czy inne odezwanie się owej grupy może obniżyć znaczenie tego przykrego dla endeków faktu. Występując z całą zaciętością przeciwko uchwałom naszego zjazdu, organ ugodowców endeckich sarka specyalnie na głoszoną przez zjazd konieczność gotowania się do walki zbrojnej. Nie podoba mu się oczywiście i powrót nasz do dawnej nazwy, ale spodziewa się, że „samowolne przywłaszczenie sobie tytułu partyi“ przez nas poruszy umiarkowańców: „Nie wiadomo, co na tę „aneksyę“ powie t. zw. lewica P. P. S., która oderwała się od niej przed paru laty, czy zechce ona pogodzić się z tym wyrokiem śmierci za życia, jaki wydała na nią Frakcya Rew. P. P. S.“ Tu warto podnieść jeden drobny, a niezmiernie charakterystyczny dla organu p. Dmowskiego szczegółik. Pisząc o naszym zjeździe, „Głos Warszawski“ podaje, że odbył się on w K r a k o w i e. Żadne ze źródeł, u którego „Głos Warsz.“ mógł zaczerpnąć wiadomość o zjeździe, nie wymienia miejsca, w którem się zjazd odbył. Popełnia więc znów swoim zwyczajem d e n u n-

c y a c y ę. Ale możemy stwierdzić, że ani Zawarzin, ani nikt inny za tę denuncyacyę „publicystom“ z „Głosu Warszawskiego“ nie będzie wdzięczny. Zjazd bowiem odbył się n i e w Krakowie, denuncyacya więc „Głosu Warszawskiego“ jest fałszywą.

Z DZIEJÓW RUCHU.

Z POD KNUTA.

Ust'-Cylma. (Archangielska gub.)

Reakcya, szerząca się coraz bardziej, coraz dotkliwiej daje się uczuwać nietylko w wielkich punktach administracyjnych, ale nawet i tam, gdzie już, zda się, niema nic do zwalczania — w głuchej wsi nad brzegami Pieczory. Panowanie sprawnika i kozaków przybiera tutaj rozmiary wprost niebywałe.

W pierwszych dniach maja roku bieżącego zupełnie bez powodu kozacy pobili powracających wieczorem (7 — 8 w.) Gruzina T u b h e r i d z e i Polaka Z a j ą c a. Pierwszego z nich bili nahajkami i kolbami do tego stopnia, że złamali mu dwa żebra, wybili szczękę i rozłupali czaszkę.

Pobity zemdlał i brocząc krwią, upadł na ziemię, ale zwolennicy łatwych zwycięstw nie przestali go katować. Jego współtowarzysza Zająca zaprowadzili do kazarmy i tam wsypali mu niezliczoną liczbę batów. Z tego powodu zaczęły się interpelacye; probowano wysłać depeszę z zażaleniem na sprawnika, p. Ulianowskiego, lecz depeszy tej treści naczelnik poczty i telegrafu nie przyjął, gdyż „wszystkie prośby i zażalenia zesłańców winny być wysyłane za pośrednictwem sprawnika“. Zrozumiałą jest rzeczą, że tam, gdzie cenzurą jest sprawnik, skarżyć się na sprawnika i jego popleczników nie można. To też skutki interpelacyi były takie, że jednego z najgłośniej protestujących, Antoniego Wajcmana sprawnik wysłał o sto wiorst dalej, do Iżmy. Taki sam los spotka zapewne poszkodowanego Polaka i Gruzina, oczywiście, jeśli dożyją tej chwili.

Zaznaczyć należy, że takie stosunki u nas nie są wcale faktem odosobnionym. Taki stan rzeczy trwa już od chwili zjawienia się tutaj kozaków, tj. od początku września roku zeszłego. Nasz sprawnik, starający się zachować pozory ojca, dbającego o dobro swych dziatek, motywował przybycie kozaków „pijaństwem chłopów, którzy krzywdzą zesłańców“. Co prawda, ze strony miejscowych mieszkańców nie spotkała

nikogo nieprzyjemność, ale w zamian za to kozacy zawarli z nami znajomość za pośrednictwem nahajek.

Pierwszem nadużyciem był nieoficyalny, lecz... faktyczny zakaz chodzenia po „nocy“ tj. od godz. 7 wieczór! Otóż jeszcze w październiku kozacy pobili dwóch zesłańców Makiejewa i Wajcmana, o którym już była mowa. Pobici udali się na drugi dzień do sprawnika i zapytali, czy istnieje zakaz chodzenia wieczorami po wsi. Sprawnik pośpiesznie zaprzeczył, dodał, że można chodzić choćby i całą noc i chcąc dać dowód, że to nie on wydał rozporządzenie bicia, przywołał kozaków i prosił pobitych, aby rozpoznali tych, którzy bili. Następnie w obecności zesłańców zgromił kozaków słowami, nie kwalifikującemi się do powtórzenia. Co im powiedział po wyjściu zesłańców — nie wiadomo, lecz ku ogólnemu zdziwieniu kozacy bynajmniej nie zaniechali bicia, ale jeszcze śmielej okładali i wkrótce bicie nahajkami oraz kolbami stało się nieodzowną koniecznością dnia i nocy. Liczba pobitych wzrastała w stosunku geometrycznym: to kogoś końmi potratowali, to strażnicy zrzucili z drewnianego trotuaru w śnieg i pobili kolbami, to pobili po twarzy i t. p. Wyliczyć wszystkich nie podobna. A do sprawnika dostać się od tej chwili nie było można, bo ilekroć który z zesłańców zażądał widzenia się z tym panem, to kozacy stojący w kurytarzu niedwuznacznym ruchem sięgali po nahajki i grzecznie zapytywali: „a za czem?“

Trwało to ciągle i życie zesłańców i tak nie wesołe, stało się wprost nie do zniesienia. W dniu 9 listopada zaszedł wypadek, który odznaczył się największą liczbą poszkodowanych i może być zaliczony do pierwszorzędnych dowodów bohaterstwa kozaków. Na mocy zniesienia stanu wojennego w Królestwie Polskiem, między innemi pozwolono wrócić do kraju jednemu z zesłańców nazwiskiem Gołod. Był to zesłaniec, który przebył $2^1/_2$ lat w Pinedze i Ust'-Cylmie i cieszył się ogólną sympatyą. Garstka znajomych, z którymi żył on bliżej (Kozłow, Nikołajewski, Zacharow, Merkułow, Kadencew, Makiejew i zesłanka, imieniem Katia, której nazwiska nie znam) chcieli go odprowadzić, a ponieważ zakazu wydalania się ze wsi na odległość 2 — 3 wiorst niema, więc towarzyszyli mu, jadąc w drugich saniach. Jadących eskortowali kozacy i dopiero wówczas, gdy w Popowej Izbuszce reszta rozstała się z Gołodem, kozacy zaczęli wojować nahajkami. Najwięcej ucierpiał na tem Makiejew, którego kozacy już znali, jako jednego ze skarżących się.

Z okrzykiem „my cię nauczymy, co to znaczy skarżyć się!“ poczęli znęcać się nad nim, bijąc bez miłosierdzia na-

hajkami po twarzy, rękach i wogóle wszędzie gdzie się dało. Przytem nie szczędzili razów Kozłowowi i Zacharowowi, a reszta z wyjątkiem Kati zdołała uciec do lasu. Po chwili wszyscy trzej bici zemdleli, ale kozacy nawet i wtedy nie przestali bić. Nie wiadomo czemu przypisać, że Kati nie bili. Skończyło się na tem, że jeden z kozaków zwrócił się do niej ze słowami: „oh, gdybym nie zważał na twą młodość, to już ja bym ci pokazał!“ Słowa wcale niedwuznaczne... Cóż go wstrzymało jednak? Zapewne obawa dolania oliwy do ognia, bo czyn taki byłby ostatnią kroplą, wypełniającą czarę po brzegi. „Buntowników“ przywieziono pod strażą do Ust' - Cylmy i zatrzymano się przed apteką. Tutaj bardzo wielu zesłańców i miejscowych miało możność widzieć twarz Makiejewa, zmienioną w jedną krwawą masę i dwóch pozostałych towarzyszy, omdlałych z bólu. Felczer miejscowy zbadał i opatrzył pobitych, a wieczorem powrócili pozostali trzej, których nahajki też dosięgły. Poszkodowani probowali podać dwie depesze, ale wobec panującego systemu i to było rzeczą niemożliwą do wykonania. Sprawnik był nadzwyczaj wzruszony tem, co się stało... i wysłał paru z nich do Iżmy, aby się wyleczyli...

Położenie nasze w Ust' - Cylmie jest więc nie do pozazdroszczenia. Wiadomości o tem, co się dzieje, dać nie można nikomu, bo korespondencyę zagraniczną przeglądają, o ile wydaje się podejrzaną. Niema więc sposobu ukrócić tych rządów... Czy długo to będzie jeszcze trwało?

BIBLIOGRAFIA.

JÓZEFA KATERLI „RÓŻA“.

Literat. ...jest to wyraźny, święty przepis sztuki,
Że należy poetom czekać — aż — aż —
Jeden z młodzieży. Póki? —
Wieleż lat czekać trzeba, nim się przedmiot [świeży,
Jak figa ucukruje, jak tytoń uleży?
Literat. Niema wyraźnych reguł.
(„Dziady“, cz. III).

Po „Dziadach“, „Kordyanie“ i po „Weselu“ mniej niż kiedykolwiek można mówić o regułach, zabraniających brać, co żywe i krwią jeszcze ocieka i nieść w kraj poezyi i stwarzać zeń literaturę. Więc, jak tym różom, które wyrosły ze świeżej gleby, nie uczynimy zarzutu tej książce, że wy-

szła prosto z naszych ran. Nie weźmiemy za złe Katerli, że brał to, co dokoła nas wszystkich jest i to, co jest w nas samych, to, co niedokończone, albo dopiero wyrasta, i to, co nie zmarło jeszcze — i z wszystkiego czyni korowód taneczny wyobraźni, widziadłowy pochód w dal własnej myśli, splot Życia i Sztuki. Próba to niebezpieczna, jąć się przedmiotu spółczesnej boleści; próba, o którą się załamie każda ludzka moc — i pokaże samą siebie w załamaniu swojem. Mała dusza próby nie wytrzyma. Mieliśmy odstraszające przykłady. Wzięli się do pisania o ruchach, których nie pojęli, o duchu i losie naszym, o serdecznych sprawach ludu, o krwawym jego czynie, Reymont i Tetmajer: te góry nawet myszy nie wydały na świat. A wielka dusza jakąż moc ze sztuki swej wydobędzie, aby opowiedzieć swoje rozłamania teraźniejsze? Czuje pisarz te zagadnienia literatury polskiej i te pytania swoje własne. Dorósł-że duch polskiej literatury do miary polskiego wyzwolenia i polskiego boju? Czy stało się natchnienie piszących skrzydłem ognistem, któreby wzniosło ludowe tęsknoty i porywy? Pisarz sam kocha i przeklina samotność swoją. Na wyżynie wolnego polskiego ducha jest on — i mówi to — zupełnie sam. Ale na cóż jest Polsce wyżyna ducha? Czyli nie na to, aby karmiła małość, niskorosnącą w dolinach? Więc przechodzi pisarz od samotności swej do rzucenia śród nas swej książki, od jęku, jakim sam sobie i sercu swojemu na wysokości zapłakał, do polskiej, starodawnej „lutni szalonego barda“, tej, co śmieje się, płacze i kocha ze wszystkimi, tej, co się pieśnią ludowego boju zagrzewa i spala, i tej, której zadaniem jest wyniosłem a nieszczęsnem być rapsodem spraw, w Polsce pokonanych.

Gdy uchylimy wrót i gdy się rozdzieli zasłona, usłyszymy wśród wichrowego jęku i śród śniegowej zamieci powtarzane imiona umarłych, zginionych, bohaterów i męczenników tej ziemi, dziwaczne słowa dyalogu pomiędzy Bogiem a szpiegiem:

„...Cicho szeptaj, — szpiegu, — bo polski wiatr, rapsod jedyny spraw, tu pokonanych, usłyszy imiona. Poniesie je w pola, w lasy, na martwe niwy, ku brudnym wsiom. Wyszlocha je u zamarzłych okienek, wypłacze w węgłach chałup. Poszepnie je milionom chłopów w ich nieocknionym dziś śnie...

...Śpi twardo chłopstwo polskie. Dobrze jego snu bagnet strzeże i zabobon. Bagnet na ziemi o wszystkiem stanowi. Na kolanach u moich stóp, z płaczem i jękiem pełza wiatr, niewolnik, jak wszystko w tym kraju...“

Jest-li pieśń, wiatrów-rapsodów słuchaczka, jak one spętana, niewolna? Co stanie się z siłaczką, gotową i gotującą

się od młodości na ciężkie prace i próby? Jest-li rapsod jękowem tylko echem walk, czy ich pobudką?

Nie chcę pisać o autorze i o jego mocy twórczej. Książka jego może być sądzona dziś tylko poprzez te najbardziej dla nas wszystkich żywe zagadnienia, w jakich cała żyje. Tylko z głębi życia można mówić o tem, co tak dla wszystkich w obecnej chwili żyje. Czy rzecz cała, przez taki zbiorowy pryzmat widziana, będzie jeszcze sztuką? Nie wiem; ale czyż można sztuczne i stałe postawić granice między sztuką a życiem; więcej powiem — między sztuką a polityką? O sprawie tej książki jednakże teraz już mówić nietylko wolno, ale należy. Sprawa jej w każdem tętnie swem jest polityką, jest życiem naszem. Sam autor na „sprawy" podzielił „niesceniczny" dramat swój.

Wejdźmy w sprawy, we wnątrz książki.

Po świecie błądzi sterany człowiek i pyta Bożyszcza, królującego na głębinach jego myśli o iskrę człowieczeństwa; o to, czem, wedle słów Shelleya, człowiek mógł być, czem nie jest, czem stać się jeszcze musi. Idzie wędrowiec, po drodze błądzący i szuka człowieczeństwa w człowieku.

Jak obcy, puka do wrót własnego domu. Jak tułacz-wędrowiec po ziemi swej przechodzi i widzi obrazy ojczystych spraw, i szuka przyczyny ojczystej, bezbrzeżnej niedoli.

W pośrodku śmiesznej polskiej nędzy wzniesiona jest wysoko nad Wisłą-wodą warszawska Cytadela. Tam, u Iwanowskich wrótni, pod szubienicą, w srogą noc zimy, błądzi duch polskiego szpiega. W nim jest podpora i główna potęga, istotna siła samodzierżcza szerokiego carów rosyjskich państwa. On jest także właściwym „wykonawcą woli narodu polskiego, takiego, jakim jest".

„...Skądżeś to tak możny, jakimi sposoby tak dalece uczony, biedny i ciemny Anzelmie?...

...Bardzo są w Polsce uczeni, bardzo ćwiczeni w mądrości prowokatorowie. Taka tō już, jak ty mówisz, polska dola, że szpieg musi stać na najwyższym cyplu polskiego intelektu..."

Urodził się z gnoju hańby, a znał marzyciela, który przed nim otworzył nieskończony błękit, nadziejną dal. Poszedł do szeregu i bił się z zaduchem policyjnego państwa i z nędzą ojczystego rynsztoka, bił się „dla tej — dalekiej — dla tej nie naszej — dla tej potomnej niepodległej Polski". — A w walce, gdy stanęła przeciw braciom brać, on mógł rewolucyę obejrzeć od dołu do szczytu, rozdartą w sobie, nędzy i utrapienia pełną, pojoną w nienawiści, czeluść rozpaczy i bezdennego błota, z którego bucha chuć potęgi. Ot — potrącony grób: „wyszedł z chałupy w ciemną noc, żeby się bić

na śmierć o Polskę, a zawisł tu pod nazwiskiem bandyty". Nie taki los, nie takie zadanie wybrał Anzelm. Dla niego wybrana świadomie śmierć jest dowodem prostactwa duszy, braku doświadczeń i rozumu, „często — osłoną podejrzanej wartości życia": on — okrom tej sprawy swej własnej, śmiercionośnej, od spraw ludzkich rąk swoich nie umyje, dojdzie w rzeczach człowieczych do dna i szukać będzie przez wszystkie ludzkie zmiany, przez swoje wszystkie rozterki widma tej — zaagitowanej a niepewnej, ujrzanej a niedosięgłej, potęgi. Był „w pracowni kowala burzy terminatorem". W szerokiem, morderczem państwie carów, w zasianej krzywdą i niesprawiedliwością ziemi polskiej on był świadomym celu kierownikiem, on podporą, rozrządzicielem wszechdobra i wszechzła, on odtąd, jako szpieg polski — z królewską wielkością rządzącego zamysłu powziął ten genialny plan: „Jeszcze potęgi! jeszcze teraz!" Stał się Anzelm despotą. Nad jałowe próżniactwo duszy taką drogę wskazało mu „głuchonieme zdrowie". Nad mrok celi więziennej zakwitły widoki rozległe. Los syna, ukochanie syna oddały go na sprzedaż zbirom najprostszym. „Po to są kupcy, żeby człowiek nie zatracił natury jaguara i żmii". Pchnął pierwszem swojem cięciem marzyciela polskiego czoło dumne. Pchnął po raz drugi bratachłopa, do śmierci wierzącego w Polskę. Rewolucya, to dłań gra popędów. On wyobraża popędy najsilniejsze. Dola ludu? Czyż nie najlepsza jest zemsta w tem, aby żgnąć odżywający upiór Polski — Polski szlacheckiej i pańskiej — w postaci marzyciela-wodza? Sława? — tak prędko gaśnie, a jest właściwie tylko echem siły panującej, śladem prawa potęgi — potęgi rozdawania policzków. I ginie Anzelm w sile swojej. I jeszcze ciało jego stygnące jest potęgą wydawczą. On prezyduje tajnym obrzędom kaźni, i głuchym sądom i on w cichej jaskini spisku zawsze dotyka sprężyny. On — wyobraziciel potęgi — sprowadza pożądanie zmysłowego szału. Mętem swojego życia on, „słup błota, syn piwnicy", zaplącze dostojny rewolucyi czyn. Żadnej rady, żadnego stąd wyjścia. Wkrąg, jak splątane pary „Wesela", owija się koło niego i koło moskiewskich szubienic — obojętność, bezsiła, pustota polskiego społeczeństwa. Szerzej, dalej okręca się stalowy pierścień bagnetów wroga. We mgle tych bojów i tych pognębień, ze spraw tutaj już pokonanych wyrasta nowe pokolenie. Na tamtych zbrodniarzy, na tamtą krew, przelewaną obficie, prokuratorem jedynym jest dziecko — przed którem niczego nie ukryjesz, które niewiadomą twarzą swoją idzie w przyszłość pokoleń. Na trąd takiego życia jedyna rada w odkupieniu przez małe dzieci. Co zostaje dla żywych? Chyba krąg nienawiści piekielnych: „Rozszerz się, nędzo!... (człowieku —) niechaj ci

rosną pazury i kły..." Gdy rozdarte szeregi, a bronie złamane, wokoło czego krąg nienawiści naszych się zwinie? jak wroga zdusi? czy tylko kuszeniem zabobonnego rosyjskiego żołnierza? Ów bagnet w serce Boga wymierzony — obraca i topi we krwi tyrana. Lecz kiedyż ów chłop prawosławny pozna, że Boga zabija swego, tnąc żelazem polską kramołę? Tymczasem pod długim murem więzienia rozstrzeliwa towarzysza wszechrosyjskiej rewolucyi. Tymczasem konwojem prowadzi długim etapem, skazańca. W dalekiem więzieniu sybirskiem łozami katuje siewców i bojowników wolności. Czyż wokrąg czoła marzyciela-młodzieńca nie jest już całe koło zamknięte? Podłość tchórzowstwa polskiego, jak bagno nieprzebyte. Żołdak obcy, jak mur tysiąca granic. I mury dalekie, i śnieg sybirski, i wieczne, nieskończone wydanie naszych myśli na śmiech tajg lodowatych.

Gdy cała szopka polska w ten sposób jest nam wskazaną i zamknioną, dusza szuka ratunku, czy wyjścia, czy wydarcia się z kajdan, z nędzy, z ojczystej troski. Może ratunek w niej samej — samotnej? w „indywidualizmowi" polskiemu odpowiedniej celi zamkniętej? Ach, ona głową o mur bić będzie i kraty rwać, aż daleko, hen, po Akatuj. „Słyszę, gdy ktokolwiek w Polsce kraty rwie", mówi szpieg duszy samotnej. Męczeństwo może? Czyż nie jest ono słabszem jeszcze niżli śmierć napół dobrowolna, czy nie jest mniejszem wybranem cierpieniem, czy nie jest w gruncie rzeczy — niewolnictwem? Samotne w tych murach, zamknięte o Polsce marzenie? Ach, Polska jest już prawie tem tylko, „co bezprawie dziedziczy na mocy urodzenia"... „Nie chcę należeć do narodu, jeżeli do niego należy prawo tyranii i gwałtu nad ludem. Tam, gdzie stoi ostatnia zagroda nędzarza, mówiącego z prawieków chłopską swoją, polską mową, biegniecie teraz po ratunek, aby wam zgniły jego barłóg wytknął granice państwa, gdy was zawiodły wszystkie pańskie wymysły: racye stanu i stany posiadania..." Takież jest owo „spoidło jedynie ostatnie i niewątpliwe... państwo niepodległe... odrzucone przez wszystkich rodaków"? Wokoło słyszy się tylko wołania o prawa, o posady, o zaszczyty: „dusze polskie stokroć boleśniejsze od krat więzienia wrogów". Niema, niema powszechnie „zrzeczenia się prawa do gwałtu", warunku nieodzownego międzyludzkiej dobroci. Zostają posłowie z pensyami, później — urzędnicy, przykład brany z Berlina i Budapesztu, podział ludzi na panujących i ujarzmionych i, w końcu, żołnierskie polskie marzenie — „dyktatura sołdatów z białymi orłami na kaszkietach"... W to obróciłoby się pewnie dążenie polskiej siły. Ach, polska siła wszak światy wzruszy, ziemię zapłodni, stworzy słońca kultury. Nanowo postawi domy i nowe

skiby zaorze, i nowy zaprowadzi ład przemysłu, porządek pracy, zgodę powszechną i umiłowanie w obowiązku. Śmieje się duch-niszczyciel, Bożyszcze w głębi myśli tronujące, Mithra, stary bóg słońca persko-rzymski, słońca wschodzącego, a jako młodzian rycerz co mieczem przebija wołu, mordującego noc. Śmieje się słońce wschodzące, wołając: Przerób nasamprzód duszę jednej istoty. A ona — kobieta — jak wąż się oplecie wokoło spraw, jak motyl z kwiatów, nadługo przed owocem, wyssie najdroższych uczuć zdrój. Mówiono już w poezyi naszej dawno o tej „pracy pustej, serce kobiece na czas przeanielić...“ Pod wpływem osłabionego tętna krwi przechodzą, jakby mgłą, obrazy:

Obraz robotniczej niedoli: skrócono czas robót, zniżono zarobki i niewiadomo czyja w tem wina. Nogi idących pęta Moskal. Robotników w fabrykach otacza, więzi, wysyła. Stoi miasto z dymami swych kominów, jak wyzwanie, i płacze błotem i krwią ociekającą swych ulic. Może miasto zburzyć i znieść? Czy fabrykanta zabić? — Odzywa się głos siły, głos boju: wroga „zabijać, łowić, tępić“. Ale na dziesięciu zabitych, pięćkroć tyle zawisło na szubienicy. Stąd więc zniszczenie jest tylko i klęska. Mówi sen - prawda: wyrzeczcie się namowy, wyzwólcie siebie, spełnijcie obowiązek, niechaj nikt nie rozkazuje nikomu, zrzeczcie się władzy fałszywej, gdy o zabiciu myślicie, zabijcie sami, nie posyłajcie, krom siebie, nikogo na bój, każdy sam w sobie niechaj spełni swój obowiązek: zrzeczenia się i ofiary. Lecz tłum nie słucha, prawdę - sen przepędza precz.

Obraz bratania z ludem: W szopie niskiej nauka o wieku ubiegłym: co przykre zakrywa, wystawia, co jasne i świetne, i płodne. Prawda - sen prawdę zbielałym twarzom pokaże. Nędza parobka, ucisk chłopa, rany na narodowem ciele: przetrzeć oczy żółcią, a niewidomy naród, jak Tobiasz, przejrzy na oczy. Lecz w ślad za prawdą-snem słychać kozackie stado, pędzące na wioskę, zapłodnioną oświatą.

Obraz wisielca w sali balowej: ukazał się, jak proroksen, gdy już wypędzono obraz rewolucyjnej ojczyzny ze złamanem i obwisłem skrzydłem, gdy narodowe kuglarstwo, nierade z satyry — czapki błazeńskiej, skazańca śmiesznego — zaczęło świstać: oto się zjawia sam chochoł warszawski. Balowy tłum w przerażeniu, w trwodze o ocalony w kraju porządek, policyi woła.

Miast ze społeczeństwem polskiem bez woli i bez honoru, mówi Czarowic samotnie w wielkiem biurze więziennem z naczelnikiem warszawskiej ochrany. Akcesorya: szpiedzy, ścierwo polskie z trzech zaborów, tutaj jako magiel na skazańców użyte. Waleczny powstaniec - robotnik, ginący

pod jego razami. I mocny śmiech Czarowica: choć pośród katów są towarzysze, lud polski za katem nie pójdzie. Choć społeczeństwo w niezdarny puszczone taniec między rewolucyą a ochraną się słania, lud polski w swym tańcu sekretnym w ratuszu i u Iwanowskich wrotni, nowy wieczysty przez krew swoją nadaje sobie herb i znak przymierza łączy go ze wszystkiem, co w narodzie było wyniośle szlachetnem. Chłopa polskiego nie zyskał kat, szpieg i car. Robotnika katowała ochrana. Stracony na wieki dla rosyjskiego caratu polski lud. Wzniesie on wysoko, nad gniazda carskich sztandarów, sztandar Polski wolnej.

Miast z narodem polskim, mówi Czarowic, gdy już uwolniony, z morzem bezkresnem. Jak wprzódy rozmaitość i rozbieżność swoją, tak teraz wyrzuca sobie, rodakom rozdział bez miary. Nic go, krom języka, z narodem nie łączy, już prawie, jak tamtych, co odeszli. Nic z tymi, co walczą, a właściwie zwalczają się wzajem. Nienasyconą jest jego pogarda dla polskich głupich powstańczo-rewolucyjnych zamierzeń, które zawsze w miejscu ustaną. Nic z nikim w narodzie nie ma już wspólnego, nawet z tymi, którzy — nadaremnie — polegli. I pójdzie przez siłę swą i w swoją wewnętrzną siłę wpatrzony — sam. Znajdzie najprzód miłość swoją, miłość dziewicy do jego krwawych dzieł — miłość, kupioną za cenę krzywdy brata, miłość straconą przez błysk jutrzejszej śmierci. Kobieta, jak sława, niepewną jest — i zostanie z wynalazcą żywym. Kobieta i sława oplotą, oplączą, jak wąż, jak sen. Bo i muzyka, ta niesłychana, przepiękna, z geniuszu ludu płynąca, muzyka szkoły polskiej w cóż się obróci? Ostatni akord jej drga, jak straszliwe ku Polsce złorzeczenie zagrobowej duszy Anzelma: i tak drgają struny i tak zdradę przechowują, i rozterkę naszej narodowej duszy nad duszą Olesia, Anzelmowego syna, nad przyszłością pokolenia sędziów i mścicieli z ducha jasnego poczętych. Rozterką brzmią słowa Czarowica do dzieci i tylko dotkliwa przewija się wokoło nich prawda: na marne jeszcze idą wysiłki, bezcelowa jeszcze oświata, gdy nadłamaną jest godność człowieka, gdy wątpliwą dobra sława obywatela, gdy wszystko wystawione na pocisk barbarzyńcy, na pierwszy dziki zamysł wroga. Nie zginęła nieprawość — ustać nie może walka. Czyż mogło być o tej prawdzie jakiekolwiek wątpienie?

„...Musi pracownik odrzucić sprawiedliwy kilof i uczciwy młot, odpasać najdostojniejszą szatę: fartuch skórzany. Musi jeszcze wdziać żelazne rękawice i zbroję okrucieństwa. Trzeba jeszcze mieczem bezlitosnym ścinać i rzucać w jamy mogił kanalię wyrosłą ze zwyrodnienia ludzkiego rodzaju.

Trzeba jeszcze z ramienia rąbać łupiestwo i uprzywilejowany gwałt...“

Podwójny gwałt uprzywilejowanym jest na ziemi polskiej i łupiestwo całą tę ziemię oblekło. Walki trzeba. Wysiłku trzeba. Potrzeba tworzenia walki. Wciąż, wciąż, bez ustanku. Ale oto naród jest niezdolny; jego moc rozpierzchła, do działania bratniego przez moc idei niezdatna. Trzymać go w ryzie i ordynku? Nie jestże to, złe stare nowem złem zamieniać? Nowe panowanie. Nowa potęga: tylko i jeszcze potęga... Urzędy, dostojeństwa, prawo do gwałtu — dyktatura sołdatów? Taka li to Polska będzie? Więc wszystko stanie się przez ludzki cud. Człowiek się stanie tem, czem być może, czem być musi — myślicielem dostojnym, władcą szybkich wyżyn tworzenia. Wszystko przez iskrę geniuszu. Oto człowiek stał się już władaczem piorunu i umie zapalić ogień zdaleka; i ogień Dana i Czarowica, nie osłabiony już, wężem oplatającej się wkoło zmysłów, kobiety, pali w oddali manewrujące armie moskiewskie.

Tym obrazem, sprowadzającym do kształtów cudu sprawę wyzwolin narodowych, zamyka się ta księga — tragi-opowieść duszy narodowej. Na tem zamykamy książkę, mając myśl pełną zamętu, niewiedzący co czynić, zupełnie jak po zniknieniu Polski dawnej, bez testamentu odeszłej, widząc iskry śród zgliszcz i popioły śród gmachów, drogi dziko zarosłe lub drogi kurzem tumanne. Wszędzie ojczyzna ciemna, dola smutna „nad którą ptakby zapłakał, a polskie serce nie płacze“. Wszędzie beznadziejny, nużący szlak poprzez obrzydłe ludzkie zamierzenia, niedokończone sprawy, przez wygasły bunt. Wyjście? Wyjścia szuka książka w dręczącej jakiejś samospowiedzi. Kultura czy walka? Walka jest marną, jak człowiek ją podejmujący, a kultura bez walki co warta? Wyjścia niema w tej bezlitosnej książce. Jakby na pośmiewisko nad nami jest na końcu tej tragicznej gry naszych popędów, śród masek naszego niespełnienia, nad realną grozą ruin i nieszczęść — cud, zawieszony, jak szybka złota na niebie naszych upragnień. Dzieło wyzwolin, ale bez brudu walki. Dzieło zniszczenia, ale jak gdyby stające się po za nami. Całe to straszne państwo, rozległe, jak morze, niezwalczone obuchem płomiennych i mocarnych działań japońskich, zapala się od iskry jednej, świecącej w naszym kraju małym. Łatwo upajający sen, złudne widzenie radości udzielnej na pustyni naszych nieszczęść. Nie dlatego wcale, iżby rzecz sama była niemożliwą, iżby się cudy ludzkiego geniuszu śród nas nie działy. Wynalazek fantazyi technicznej jest aż nadto uprawnionym w wieku latania w powietrzu i zastosowań technicznych dla tajemniczych substancyj i promieni. I wynalazek

ognia nie jest fantazyą jedynie. Przed niespełna rokiem spłodzona została myśl przenoszenia i zapalania ognia za pomocą przyrządu wkładanego do mających się zapalić przedmiotów, i wynalazek zaofiarowany miarodajnym czynnikom — rządowi carsko-rosyjskiemu. My nie mamy państwa ni praw (więc ani przemocy zorganizowanej, ani krzeseł kurulnych dla poszukiwaczy posad i dostojeństw). My nie mamy widomej ani niewidzialnej siły wykonawczej (och, nie mamy „sołdatów“ z białymi orłami na kaszkietach). Więc nie podobna nam kupić geniuszu. Bo nie tylko szpiegów może kupić tyrański, najezdniczy rząd za wielkie narodowe pieniądze. Ale geniusze także. I cóż, jeśli zdolny człowiek, ogromną siłą wynalazczą obdarzony, zawiedzie? I łatwiej jest zawieźć naród słaby i nieoporny. Łatwo i mądrze pono jest być szpiegiem, niełatwo więc być Arystydesem na polskiej ziemi. „Talenta są to w ręku szalonych latarnie“. Czy szalony będzie stanowić? Czy szalonemu powierzymy klejnot naszej walki, ludu naszego znak herbowy, czerwoną, obficie wylewaną proletaryatu krew? Bez krwi niema zwycięstwa, bez walki niema pracy dla ludu i niema losu dla naszej ojczyzny. Czy społeczeństwo całe, czy naród, czy ten lud nasz rycerski mogą być objęte indywidualizmem samotnej idei, chwianiem się na wyżynach doniosłego potężnego rozumu pomiędzy Szpiegiem a Geniuszem? Mocą Szpiega i Geniusza czyż objętą, według nich rozdzieloną czyż może być nasza ludowa, powstańcza moc? Nigdy i nigdy. Ani szpieg, ani geniusz nie może wyniknąć sam. Szpieg wynikł dlatego, że dla wroga walkę naszą szpiegiem opętać najwygodniej, zwyciężać najlepiej. Geniusz walki stanie wśród nas wtedy, jeżeli walka stanie się geniuszem naszego ludu. Ale i całe to porównanie, cała ta straszna rozpacz indywidualna, słaniająca się między potworem ducha i ideałem ducha, nie widzą i nie mówią nam prawdy. Szpieg, który zawojował Polskę, nie jest niczem więcej, jak zewrzałym naskórkiem narodowego ciała, zbitego przez oprawców. Szpieg sam nie jest żadną siłą w Polsce. Błędem i fałszem jest wystawienie go samotne na górze potępienia. On jest niewolnikiem najniższym: każdego swojego momentu, każdej chuci, każdego swojego błądzącego zamysłu. On nie ma planu. On wcale nie tworzy. Od chwili do chwili, pod ciężarem walących się głazów upadku, rozłazi się wkoło jego wieść, rozszczepia się jego umysł pod batogiem wroga-oprawcy, gnije ciało, jadowitą chorobą ducha toczone. Każdy bezmyślny oprawca jest silniejszym od tego niewolnika kruchych popędów wyleniałego mózgu. Każdy najprostszy niewolnik honoru, każdy pospolity i bezmyślny

wykonawca postawionego mu obowiązku ma więcej siły duchowej i wytrzymalszą jest próba jego serca — nie etyczna jego wartość, lecz siła jego jest większa, niźli ta niewolnicza niemoc polskiego szpiega przed moskiewskim żołdakiem, ta w narzędziu carskiego zbira nie to mądrość, świadoma celu i korzyści, lecz wyładowująca się popędami, leniwa i pusta, zmysłami, jak w kokon, oplątana ospałość. I pod względem ilościowym szpieg nie jest wielmożą w Polsce. Naszą książkę przeszywa od końca do końca śmiertelna groza słów Osta, robotniczego bohatera: „Między szpiegami — nasze towarzysze!...“ Tak jest, byli, wiemy o tem dobrze, uświadomili to sobie robotnicy, znają tę straszną sprawę zdradziecką, a krwią Osta i towarzyszy spłacili dług ludu, w narodowem sumieniu zaciągnięty. Lecz przeważna ilość szpiegów, lecz całe zgraje uliczne, lecz ta potworność w naszych miastach wędrująca— to przybłędy, to w ogromnej ilości z obcych krajów szerokiego imperyum zebrane plugastwo robacze. I prawdą jest, że na tym krwią zbryzganym tronie, dalekiej północnej stolicy już nie tyran i kat, lecz jutrzejszy wisielec — kupiony szpicel — zasiada i rządy sprawia. Ale bezmyślnie, zgnile i chorobliwie — nie inaczej, jak ów na tronie Mikołaj. A w naszej ziemi nie jest, doprawdy, tak źle, w naszej duszy tak rozpacznie, aby szpiegiem-kierownikiem, władcą plugawego samoistnienia stawał się ktoś przez miłość dla syna. I nikt w naszym ludzie, zaprawdę nikt w naszym narodzie całym przed szpiegiem nie ukląkł: o ułaskawienie jego imieniem się nie modlił, ani błogosławił tę nikczemność i tę zarazę, ani całował kiedy ziemię, po której przeszła.

Zła jest i niesprawiedliwa taka wieść o własnym narodzie. Trzeba, trzeba nam koniecznie dziś jaśniej patrzeć w nasz kraj. Nie przez jaśń złudzenia, ale przez jasność czynu. Prawda, że gorycz nam potrzebna, a żółcią nasze Tobiaszowe oczy przecierać trzeba często. Niema miłości bez goryczy. Bez jadu niezadowoleń z siebie i z tego, co otacza, nie błyśnie stal czynu. Ale naszym wznoszącym się ruchom czynu potrzeba dwóch rzeczy: wzrostu i zrozumienia. Ruch ludu ponad opary błotnej naszej ziemi powoli i ciągle ku górze wyrasta. Nieprawdą jest, że się wszyscy wyrzekli jedynego spoidła narodu — dążenia Niepodległej Polski. Ono, jak kwiat w pąku, zawarte było we wszystkich usiłowaniach, we wszystkich walkach, we wszystkich drgnięciach narodowego ciała. Lecz ono, jak róża rozkwitająca, płodna przyszłymi kwietnymi ogrody, tkwiło w sercu tego chłopa i robotnika, co się do walki szaleńczej porywał. Tego chłopa i robotnika, który w walce swej szedł, nie oglądając się pozad, w zaułki, w drogi bez wyjścia, szedł jedynie przez tę głęboką, mocarną, nie-

zmierzoną, moc niepodległą polskiego ludu. Nieprawdą jest, aby na wyżynach wolności polskiej była dla ducha samotność. Bo wolność ducha jest w zrośnięciu się z ludem wyzwalającym i w poddaniu się wieszczem. Gdzie byli wieszczowie? Lud tłukł głową o mury, głową o kraty. Gdzie było wołanie zmartwychwstańcze samotnych duchów, arka przymierza starej Polski z nową? Zgódźmy się na to z pokorą: więcej zawinił w tych chwilach nieszczęsnych duch narodowy, niźli pokryte świeżemi bliznami narodowe ciało. Wieszcze, wysokie głosy wyjdą z ludu. Lud dojdzie do mocy twórczej, genialnej przez własną w swej walce spoistej wspaniałość. Na wyżynach wolnego polskiego ducha jest się z czynem, jest się z walką. Geniusz rasy zakwitnie przez związanie się ludu w Polskę czynną i przez ofiarną walki wesołość.

Dzieło geniusza bez zbiorowej mocy nie powstanie na dobro kraju. A któż dzieło geniusza wyzyska, zużytkuje, jeżeli nie zorganizowana zbiorowość? Po sprawie siódmej, jakaż nastąpi sprawa ósma? Po epilogu tej książki, jaka karta nowa, która opowie, co się ma stać, jeśli moc moskiewską wyżeniemy precz? Musimy organizować Polskę. Musimy tworzyć zorganizowaną moc. Nie możemy zostawić dzieła tym, którzy przykłady wezmą z Berlina i z Pesztu. Musimy — my, lud — być twórcami naszego państwa. Albo się chce Polski żywej, prawdziwej, istotnej, albo już lepiej żadnej Polski nie chcieć. Ani jej zostawić do urządzenia komu innemu, ani urządzonej samozwańczo odtrącić nie może polski lud. Musi ją tworzyć i przetwarzać. Musi działać, co tylko ma mocy — lecz także współdziałać z innymi. I doprawdy, niegodni bylibyśmy stać się wolnymi obywatelami męczeńskiej tej ziemi, gdyby nam wolę niepodległej ojczyzny zakrywał pusty strach, że w niej będą urzędy, dostojeństwa, krzesła kurulne, dziedzictwa niesprawiedliwe, dyktatura sołdatów z białymi na kaszkietach orłami. Byłoby to najcięższą, śmiertelnie zgubną niewiarą we własne siły, gdybyśmy nie wierzyli, gdyby lud nie wierzył, że on to wszystko zmieni, że on to wszystko, swojem uczyniwszy, jako Polskę umocni. Chcąc prawdziwie Polski, żąda się żywego państwa i innego wyboru niema.

A także niema wyboru w walce. Powstanie ona i połączy się falangą tylko przez zorganizowaną zbiorowość. Niegodni bylibyśmy ludu polskiego, gdybyśmy Polskę rzucili przed niego, jak snu samotnego widziadło. Muszę przyznać: obraz wyzwalającego cudu — iskry samotnej geniuszu — pognębia; cierpnie i słabnie od niego wola. Jak ta Polska do nas wszystkich, do każdego należy, tak własnością i prawem

każdego jest walka. Polska niepodległa nie stanie się bez strasznego ludowego wytężenia i wysiłku. Nie przyjdzie bez walki zbiorowej. Pójdzie naprzód, na los, szeregiem. Dziwne może, lecz nie wyobrażam sobie ceny Polski, zdobytej bez powszechnego boju. Ale to niemożliwe jest poprostu. Jest to obłędna gwiazda snu, albo najgorzczejszy śmiech. Gwiazda spadająca, sen obłąkany? Przejdźmy i krokiem zrównanym niechaj szereg bojowy idzie. Każdy z szeregu musi przejąć się obowiązkiem. Musi wiedzieć za co idzie, za co zginie, i że zginie — też wiedzieć musi. Nie można brać na się ciężaru cudzej krwi w wyzwoleńczym szeregu, do boju idącym: bo ciężar przeszkodzi walczyć mocnemu, a słaba krew będzie dla słabego upadkiem. Ale obowiązki muszą być połączone i organizacya obowiązków dopiero staje się walką. Każdemu: i robotnikowi ciężko cierpiącemu, i chłopskiej nędzy, i inteligenckiemu rozpasaniu się w Polsce mówić trzeba o obowiązku względem ludowej sprawy tworzenia ojczyzny. A mówić tak, jako mówi krew zapiekła pod kajdanami naszymi, jak mówi stylus ostrokończaty kajdan naszych. Każdy zrozumie i każdy pójdzie. Czyż nie pójdzie każdy człowiek. Nam, ludowi walczącemu, potrzeba tęgiego zdrowia. Wyzwolenia się na szpiegostwo nigdy nie wydało głuchonieme zdrowie. Zdrowie wydaje walkę, zemstę za krew, za poniewieranie pokoleń — zdrowie zrodzi krew wylaną. Niechęć mamy do krwi? Tedy lepiej nie walczyć. Ale zdrowie ludu, wytwarzające jego idee, pożąda głuchoniemego gwałtu. I przez gwałt walki stanie się Polska ludowa wolna. Przez gwałt i przez wesele radosne.

Cóż poradzić, jeśli niewinny zginie? Cóż poradzić, jeśli, niewiedzący, upadnie, śmiercią umrze? Na jego grobie zakwitnie róża — symbol męczeństwa. Oby jak najrzadziej. Oby te blade, polne kwiaty spłonęły gorącą własną serca swojego krwią. Dla nas spłomieniał sercowy świat. My nie do męczeństw bezpłodnych stworzeni. Nie łączy nas dola, dola męki ojczystej, ale łączy nas świt szczęścia. Wesele oplotło bojowe nasze czyny-sny. Radość przyszła, niewiadomo skąd— geniusz rasy ojczystej może nam ją dał — radość się stała w sercach wierzących, mających na wiek, który idzie, nowe nadzieje — radość w umysłach pracujących i wyliczających spólnie. To wesele połączyło nasze dusze, bo my pod jego kryształowym śmiechem, pod jego — ach, może czasem grubą i pospolitą, ale spólną mową, czujemy bicie serca, kucie młotów ludu polskiego. I lud i ludowa walka nas łączy. I radość w kwiecie czerwona na naszym grobie zakwitnie.

Grób nas istotnie połączy. Przez książkę cudną czasem, jak daleka muzyka, grającą, jak w ojczystych polach samotne

łkanie, przewija się nicią jednaką legenda o młodzieńcu, powieść o róży, co z grobów na polne nasze błękity wyrasta. Ujmie lud polski walczący kwiat róży samotnej, i cierniami zarówno, jak czerwoną, gorącą krwią z cierniami swojego życia ją splącze, po czerwieni snów swoich, po morzu swojego wesela, jej smutek rozpaczny, jej samotne męczeństwo, jak cudną kwiatową przędzę rozwlecze. *Hubert Nowina.*

Tytus Filipowicz. Dyalogi o życiu i śmierci. Nakładem wydawnictwa „Życie“ w Krakowie. 1909 r.

Piękny, z staroświecka stylizowany tytuł i godna go książka. Niewielka rozmiarami, ale bogata w myśli — te najprostsze, tak proste, że czasem się zdaje, iż nieomal zbyteczne, dotyla same przez się jasne i zrozumiałe, jak sam fakt istnienia. Czytając je, musimy niekiedy dopiero przypominać sobie i uprzytamniać ze smutnem zdziwieniem, że, prawda— wiele, ba nieomal wszystko, co proste i męskie, w prostocie swej silne, bezwzględne i zbawcze, od lat kilkudziesięciu zniknęło doszczętnie z widowni skarłowaciałego życia społecznego Polski, któremu, z wyjątkiem krótkich chwil rewolucyi, ton nadaje dmący się, a zestraszewiczony już nie duch nawet, lecz zaduch lokajstwa i wyższej dyplomacyi klas posiadających. I tylko czasem zaciętość w lokaucie, strzały do strejkujących parobków, na chłodno wyrozumowane bratobójcze morderstwo z zasady (a często z zasadzki) „patryotycznej“, lub publiczne wezwanie do wojny — domowej, same jedne świadczą, że jednak i nasi *beati possidentes* umieją jeszcze walczyć — o stopę procentów.

Książka zaczyna się chłodno, zdaleka. Dyalog pierwszy („Morał nowoczesny“) mówi, że zamęt pojęciowy, panujący dzisiaj, tak u nas, jak i zresztą w całej Europie, jest następstwem „braku pewnych wspólnych, ogólnie uznanych wskaźników życiowych“, zaniku „wytycznych ideowych“, skutkiem zachwiania się równowagi pomiędzy pojęciami a czynami życia. To zaś ze swej strony wypływa z jednoczesnego działania dziś i ścierania się z sobą dwu morałów, z których jeden — dawny morał zaświatowy — trzyma się jeszcze mocą bezwładności, lecz traci już zwolna siłę i znaczenie, drugi — którego nutą przewodnią jest pełnia, „gloryfikacya“ życia — nie zapanował jeszcze w całej rozciągłości. I właśnie nieokreśloność ta i chwianie się życia pomiędzy biegunami świata i zaświata prowadzi do kłamstwa i niekonsekwencyi, z których wywieść nas może i dać nam zwycięstwo tylko zupełna szczerość wobec samych siebie.

Z punktu widzenia socyalistycznego rozumowaniu temu

dałoby się uczynić aż nazbyt łatwy zarzut, że takie albo inne morały, ideały nie odgrywają w życiu roli kierowniczej, że nie są one zjawiskiem podstawowem, w którem zamęt pociąga za sobą z konieczności niedoskonałość instytucyj, „stosunków realnych“ i t. d., że raczej wprost przeciwnie... Ale nie wszczynajmy dysput o zasady, o prawo pierwszeństwa tych czy innych zjawisk, które się składają na całokształt życia, nie kwalifikujmy ich, jako bytowych obywateli pierwszej i drugiej klasy. Dyalog zbyt małe daje nam po temu pole, jest zaledwie wstępem, a trudno mu skądinąd odmówić, że takie, jak powyżej, uogólnienie, zestawienie i określenie tego, co się w świadomości Europy dziś dzieje, jest słuszne i zręczne.

Lecz oto już następny dyalog, traktujący „o tem, jak śmierć służy ku przedłużeniu życia“, zstępuje ze sfer ogólnie-abstrakcyjnych do bliższych nam dziedzin życia społecznego i dowodzi wymownie, że tylko to życie jest coś naprawdę warte, które za treść swoją samo siebie śmierci w ofierze w każdej chwili złożyć jest gotowe. I właśnie im silniejsze i zdrowsze jest ono, im mniej zatrute szpitalną atmosferą tych, którzy „sami nigdy nie mają siły umrzeć“, bo i żyć w całej pełni słowa nie są zdolni, tembardziej miarą wartości staje się dla niego gotowość „wezwania na sojusznika śmierci“. Dla ludzi, tak żyjących, „myśl o śmierci stanowi jedno ze źródeł, z których bije życie“, jeden z bodźców i środków do rozwinięcia jego możliwej potęgi; tylko też oni jedni zdolni są przetrwać, przemódz i wyzyskać dla celów i ukochań swoich „momenty dziejowe, wymagające ofiar z życia“, — a przeto nie ulega najmniejszej wątpliwości, że, jak mówi dyalog ustami Bronisława (tego, co „broń sławi“), „tylko życie takich ludzi posiada wartość bezwzględną“ [1]).

Dyalog trzeci poświęcony jest analizie i wykazaniu nicości znanej, a wprost potwornie chorobliwej teoryi „niesprzeciwiania się złu“ — teoryi, której przyjęcie, zwłaszcza dla klas i narodów gnębionych, miałoby zgubne skutki i służyło dowodem doszczętnego zaniku sił i ducha. Żywe i silne życie reaguje na krzywdę protestem odruchowym. I nawet dopiero „fakt protestu przeciw krzywdzie jest dowodem niezbitym samego istnienia krzywdy“. „Sama świadomość czynienia krzywdy może się zjawić ze strony krzywdzącej dopiero wówczas, gdy poczuje pewien opór“. Stosunek ludzi do roślin, stosunek ich do zwierząt, cały długi szereg faktów historycznych świadczą nieodparcie, że za bliźniego człowiek

[1])W dyalogu tym jest też bardzo dobre, krótkie i dobitne określenie istoty cierpiętnictwa rosyjskiego (str. 18, 19).

uważa tego tylko, kto wykazuje, że potrafi „reagować na bodźce zewnętrzne w takiż sposób, jak i on sam“. „Każdy, kto stale wojuje mieczem gwałtu, odkłada go wówczas dopiero, gdy widzi, że od takiegoż miecza może zginąć“. „W tej walce gwałtu z gwałtem zwycięża ten, kto ma większą pogardę śmierci“. „A człowiek, który nie jest gotów za czystość swego życia umrzeć, nie wart lepszego losu nad łańcuchy“. — I jest jakaś ożywcza moc w tem stanowczem, ostrem powyższych elementarnych prawd sformułowaniu w naszych „uczonych“ czasach.

A już z prawd tych, jako nieubłagany pewnik, wypływa, że czyn jest koniecznością dla tych, których krzywdzą, gdy krzywdę swą zmódz pragną, że idea sama, jakkolwiek konieczna i warunek niezbędny czynu stanowiąca, potemu nie wystarczy. Dziś, w okresie reakcyi i powrotnej fali pracy organicznej, bezsprzecznie pożytecznej, bezwzględnie koniecznej, lecz nie wystarczającej, a będącej często tak wygodną pokrywką niemocy, niechęci do walki i bezwładu burżuazyjnego, myślom powyższym tylko przyklasnąć możemy. I z zupełnem uznaniem słuchamy, jak Bronisław w dyalogu czwartym („O tem, jak śmierć daje prawo do życia“) mówi: „Znowu i znowu słyszymy na różne tony głoszoną myśl stanowczego rozbratu z tradycyą porywów zbrojnych. Zamiast mówić, jak na mężów przystało: — dobry jest pokój po walce, bo daje możność przygotowania się do nowej walki,— ci ludzie wciąż na różny ład mówią: — precz z wszelką myślą o wojnie! A ta ich mowa, rzekomo pełna humanitaryzmu znaczy: nie chcemy myśleć swych myśli do końca, i nie chcemy umierać inaczej, jak w łóżku. A gdy oponent jego Mirosław (czyli „pokój sławiący“) powiada:... „Ponieważ idee są ziarnem, noszącem w sobie zaród przyszłych zdarzeń, potęgowanie ich i szerzenie jest również pracą społecznie niezbędną. Wszak, co ma kiedyś żyć w rzeczywistości, musi naprzód narodzić się w pieśni“, — Bronisław temi słowy kończy całą książkę: „Tak. Lecz narodzić może się wówczas tylko, gdy znajdą się tacy, którzy nietylko kiedyś za przyszłą rzeczywistość, lecz dziś i za pieśń o niej potrafią umierać“...

Taką pokrótce, w ogólnych zarysach jest treść tej książki, brzmiącej, jak stanowcza i męska pobudka do czynu, do walki. Obyż jej główne myśli mogły wejść w krew ogółu polskiego społeczeństwa! Nadziei wprawdzie potemu niewiele: dla burżuazyi polskiej czas i warunki życia zbyt wiele zdziałały w kierunku wprost przeciwnym. Ale też fala postępu i przyszłości toczy się dziś już i coraz potężniej toczyć będzie poprzez i ponad burżuazyą.

Kropki nad „i“ brak książce. Jakiej i dlaczego, domyślić się łatwo. Uniemożliwia to jednak ostateczną krytykę „Dyalogów“ z punktu widzenia socyalistycznego — krytykę, której wynik byłby może w przeciwnym razie dość ciekawy.

Droga, którą Filipowicz (w znacznej mierze zapewne świadomie ze względu na zamiary książki, ale po części i nieumyślnie może) obiera, aby przekonać Polaków wogóle o pewnych koniecznościach dla nich, jest jakby wprost przeciwna do tej, na której Luśnia dowodził to samo proletaryatowi polskiemu. — Luśnia wychodził zawsze z pewnych treści, o których wartości i nieodzowności starał się przekonać i przez to samo skłonić do walki o nie, jako, że „każdy“, wedle słów Goethego, ma zawsze dosyć siły, by to przeprowadzić, o czem jest przekonany. Wykazywał on i uświadamiał nam konieczności nasze, wychodząc od strony wewnętrznej procesów życia społecznego. Filipowicz w „Dyalogach“ zdaje się wychodzić, jakby jedynie z obserwacyi zewnętrznej procesów i tylko procesów ogólnie życiowych od strony samego ich faktu — tak, jak gdyby mówił nam, wskazując chwalebne przykłady: patrzcie! wszędzie, gdzie życie jest zdrowe i silne, to a to czyni ono, tak a tak wygląda; jeżeli przeto chcecie być zdrowi i silni, musicie i wy być takimi samymi i to lub tamto czynić.

[„Bronisław. Czy staną się (szczerymi) wszyscy — nie wiem. Wiem tylko, że muszą stać się takimi ci, którzy w walce o wyższy typ życia pragną zwyciężyć“ (str. 16)] [1]).

A przeto Luśnia, nawiasem zresztą mówiąc, tylko jako wyraziciel całego polskiego (bez cudzysłowu) socyalizmu, miał tę przewagę, że wykazywał, dlaczego proletaryat polski musi chcieć, i czego, i czemu tylko w taki, a nie inny sposób. Luśnię można było przyjąć lub odrzucić, a jeśli spory toczyć z nim, to tylko wewnątrz socyalizmu. Na wywody autora „Dyalogów“ w ogólności, jak nam się wydaje,

---

[1]) Charakterystyczne to zdanie wydaje się nam kluczem do całej książki, a (z odrobiną przesady) kto wie, czy i nie do całego pewnego światopoglądu nawet. Lecz czy tak można stawiać kwestyę? Czy strupieszały endecko-ugodowy obywatel polski, albo esdecki kaleka duchowy nie są w swoich granicach szczerzy, nie pragną zwyciężyć? Czy ktoś wogóle pragnie być zwyciężonym? Czy nie każdy raczej jest możliwie szczerym i silnym w swych warunkach? Czy więc nie należy zawsze przenosić sprawy z gruntu psychologii na grunt tych warunków? Albo przynajmniej czy nie jest bezpłodną i chybioną rzeczą, jeśli nawet słuszną, wtrącanie się do czyjejś szczerości, nieszczerości, siły lub słabości? Czy powyższe „nie wiem“, które się wszak równa „nic mnie nie obchodzi“, i jego chłód męski i silny, lecz samotny i odosobniony („niesocyalistyczny“?) nie tu ma swe źródło?... Ale roztrząsanie kwestyj tych zadaleko zaprowadziłoby nas.

może się zgodzić każdy, nawet ugodowiec — z tem małem zastrzeżeniem, że wniosek poszczególny wyciągnie z nich później, wtedy, gdy to będzie nietylko wogóle dobrem i koniecznem. A moment ten określi inna analiza — oczywiście zupełnie różna dla burżuazyi i proletaryatu.

Czy przeto piękna książka Filipowicza nie zawiera w samem założeniu swojem pewnej bezpłodności, jak wszystko z pogranicza dwu tak różnych światów, że nawet ich stosunek do, mogłoby się zdawać, zupełnie jednakowo dla obu ważnych kwestyj musi być całkiem inny? Proletaryatowi, w którym duch jest silny, tylko świadomość mącą w nim przeróżni także socyaliści polscy, „Dyalogi“ dają pod pewnym względem mało (co nie znaczy wszelako, aby z innych względów nie miały być dla niego nader cenną książką), a burżuazya... Jest w elementarzu Tołstoja pewna bajka, jak widzący chciał kiedyś, by ślepy od urodzenia zrozumiał, jaki to jest biały kolor mleka i co stąd wynikło.

Takich i tym podobnych pytań „Dyalogi“ wogóle nastręczają sporo. Ale kwestyj tych tutaj podnosić nie sposób, tembardziej i przedewszystkiem, że, jakżeśmy mówili, „Dyalogi“ z ich przemilczeniami zamało nastręczają potemu materyału. Więc zaznaczywszy tylko dla ścisłości i tę stronę książki, tembardziej podnieść należy to, co jest w niej piękne i prawdziwe — ten duch męskiej szczerości, stanowczości, siły, którym tchnie ona, a który ma wartość niezależnie od wszystkich doktryn i poglądów. *Joachim Waga.*

ŚMIERĆ A ŻYCIE.

Z tajemnic moich, matko, znaj:
Jest inny tamten kraj,
Kędy są wiecznotrwałe siły;
z tych nowy rośnie pęd
i wzejdą i będą rodziły;
Tam wszelki żywioł ma swój byt
i czeka, aż dlań błyśnie świt
i czeka, aż dlań przyjdzie czas
zajaśnieć pełnią kras
— — — — — — — — — — — —
Umierać musi, co ma żyć
— — — — — — — — — — — — — —
Gdy więzy śmierci skruszę
i zieleń pędów nowych rzucę
na niwy, łęgi, na zagony, —
o matko, Bogów godna praca!
sposobić każ lemiesze, brony...

Kora w „Nocy listopadowej“.

Oto idea, którą rozwija Tytus Filipowicz w swej najnowszej broszurze. Nie jest to myśl nowa. Jak nić czerwona, przewija się ona przez całą naszą literaturę rewolucyjną. Głosi

ją Wyspiański, słyszymy jej głos w „Róży“ Katerli, kiedy po męczarniach, zadawanych Ostowi przez szpiegów Grüna, Czarowic ściera chustką z podłogi krew, wyciekłą z ran tego robotnika-rewolucyonisty.

Myśl tę rozwija Filipowicz dyalektycznie, z niezwykłą odwagą i konsekwencyą, biczując wygodne i utarte teorye. Przedewszystkiem uderza w stary morał i wraz z Nietschem woła: „pokora, czystość, ubóstwo, jednem słowem świętość niewymownie więcej szkody dotychczas życiu przyniosły, niż jakiekolwiek straszliwości i występki“. Morał ten stary nie zgadza się z rzeczywistością. Ci, co go głoszą, w praktyce żyją inaczej. „Potajemnie piją wino, a publicznie każą pić wodę“, jak o nich mówi Heine. Obecnie nowy morał, żądający dążenia do uzyskania pełni życia, zdobywa sobie coraz to nowe placówki, a ci przedewszystkiem przejąć się nim winni, co walczą o wyższy typ życia.

Kto jednak chce tę pełnię życia osiągnąć, musi być gotów do ofiar, a nawet do ofiary z życia dla tego celu. Tylko ten, kto ma siłę i wolę umrzeć za tę chęć życia, będzie żył. Strach przed śmiercią prędzej śmierć sprowadzi, niż pogarda śmierci. Tyczy się to tak samo narodów. Narody, kierujące się humanitarnością względem wrogów, i szczędzące życie swych ziomków, są w niewoli i przelewać muszą o wiele więcej krwi za cudzą sprawę, niż narody zanadto altruistyczne. „Odwaga spotkania śmierci przyczynia się do spotęgowania i uszlachetnienia naszego życia“. „Ci, którzy pokój miłują, jeszcze prędzej idą pod miecz niż ci, którzy miłują wojnę“. Kto istotę jakąś indywidualną lub naród prześladuje, ten wówczas dopiero zrozumie, że wyrządza swej ofierze krzywdę, jeżeli ta ofiara protestować, buntować się zacznie; samo cierpienie bowiem, samo choćby największe męczeństwo nie wstrzyma najezdcy od bicia. A prześladowca staje się humanitarnym dopiero wówczas, gdy prześladowany na gwałt odpowie gwałtem, nie zaś, gdy po chrześcijańsku cierpieć będzie.

Czy prześladowania męczenników chrześcijańskich poskromiły zwierzęcość ich prześladowców, czy też dopiero legiony Spartaka? Czy „niesprzeciwianie się złemu“ głoszone przez Tołstoja i jego uczniów uratowało choćby jednę ofiarę z pod szubienicy lub z lochu więziennego? Idea sama, choćby najszczytniejsza, nie zbawi żadnego narodu, ani klasy społecznej, jeżeli nie popiera jej siła fizyczna.

Na poparcie tych myśli przytacza Filipowicz szereg przykładów z dawnych i najświeższych dziejów. Gdyby był napisał swoją książkę po rewolucyi tureckiej i perskiej, utwierdziłyby go te rewolucye w jego zapatrywaniu, bo rzeczywiście, gdyby Turcy a za nimi ich pojętni uczniowie, Persowie nie

wysłali na szubienicę najwybitniejszych przywódców reakcyi duchownej i świeckiej, gdyby się liczyli byli z fanatyzmem religijnym tłumów, z groźbą interwencyi Europy i najazdu Moskali, byliby dalej jęczeli pod batami swych despotów i moskiewskiego najezdcy.

Jeżeli partya jakaś demokratyczna lub socyalistyczna chce cel swój osiągnąć, musi się przygotować na wszystko, musi swemu wrogowi drastycznie unaocznić swą wolę poświęcenia życia swych członków w walce o sprawę, a wówczas nawet sama ta groźna postawa wystarczy, zwłaszcza, jeżeli po stronie wrogów niema tej pogardy śmierci. Gdyby n. p. niemieccy socyaliści rozbudzili taki zapał rewolucyjny w partyi, że wrogowie jej widzieliby u socyalistów gotowość pójścia w ogień w walce o swe żądania, w takim razie nietylko nie odbieranoby im prawa wyborczego i nie unieważnianoby im mandatów, jak się to stało w sejmie pruskim, lecz owszem partya socyalistyczna zdobyłaby tam pozycyę, odpowiadającą rzeczywiście jej sile liczebnej i ideowej.

Ale właśnie u socyalistów niemieckich zakorzeniła się ta fałszywa nauka o wszechmocy idei. Czeka się tam na „konieczność dziejową“ i „stosunki ekonomiczne“, a tymczasem brutalna łapa junkra pruskiego okazuje się silniejszą, niż sama choćby najszczytniejsza idea bez „bracchium saeculare“. Tak samo nie wiele sobie robi carat z esdeków rosyjskich i polskich i z lewicowców, którzy „w zasadzie“ chcą go pobić.

Chciałbym jednak tu uczynić pewne zastrzeżenie. Czytelnik łatwo może z broszurki Filipowicza odnieść wrażenie, że sam czyn, sama walka fizyczna z wrogiem wystarcza do jego pokonania. Np. „w walce gwałtu z gwałtem zwycięża ten, kto ma większą pogardę śmierci“. Krzywdzący... usuwa rękę z ofiary „gdy uzna ją za równą sobie, gdy ona ma siłę i śmiałość płacić zębem za ząb, okiem za oko“. „Siła i wielkość idei mierzy się zawsze liczbą ludzi, gotowych za nią umrzeć“.

Są to zdania piękne, jako hasła agitacyjne, wojenne. Tak mówi wódz na wojnie do swych żołnierzy, chcąc ich zagrzać do męstwa. Ale ów wódz, zanim te słowa bezpośrednio przed samą walką wypowiedział, musiał dobrze obmyśleć całą akcyę wojenną. Gdyby opierał akcyę jedynie na takim apelu i zezwolił na osaczenie wojska przez nieprzyjaciół, gdyby tedy wojska jego, mimo bohaterskiej walki, uległy przemocy, dostałby się pod sąd wojenny. Któż zresztą zaręczy, że i wróg nie ma takiej samej pogardy śmierci? Czyż np. szowinizm lub klerykalizm nie potrafi wśród kontrrewolucyi również wywołać pogardy dla śmierci?

Oprócz gotowości do ofiar i pogardy śmierci potrzebna jest świadomość, że po stronie naszej musi być zwycięstwo, a świadomość będzie wtedy, jeżeli nauka i rozwój stosunków ekonomiczno-społecznych prą do zwycięstwa tego. Nie należy wprawdzie założyć rąk i czekać, aż „stosunki ekonomiczne“ się nad nami zlitują, bo bez czynu, bez walki nic nie zdobędziemy, ale należy badać kierunek rozwoju i zbierać siły, aby niemi w sposób mądry, zgodny z tendencyą rozwoju uderzyć w stosownej porze.

Gdyby np. Polacy rozproszeni byli, jak żydzi, po świecie, gdyby stosunki ekonomiczne i polityczne w Królestwie nie parły do niepodległości, wszelkie, choćby najcięższe ofiary nie sprowadziłyby jej. Należy się bowiem i po stronie wroga spodziewać pogardy śmierci.

Wierząc jednak i widząc coraz to wyraźniej, jak konieczność dziejowa prze ku niepodległości, możemy być pewni zwycięstwa przy napięciu sił wszystkich w stosownej porze.

Filipowicz rozumiał to, co się okazuje po części z rozdziału IV, jednak za mało myśl tę rozwinął.

Książeczka jego zawiera zresztą tyle myśli głębokich, tyle prawd śmiało a pięknie wypowiedzianych, że powinna się znaleść w ręku każdego, kto pragnie się zapoznać z światopoglądem rewolucyjnym. *St. Zelt.*

„Carskij Listok“. Wydawnictwo redakcyi „Byłoje“. Paryż 1909. Zeszyt I. Cena 2 fr.

Biblioteka Abdul Hamida zawierała kompletny zbiór opisów działalności Sherloka Holmesa. Mikołaj ma swych własnych Sherloków, którzy co 10—15 dni składają mu za pośrednictwem ministra spraw wewnętrznych „Dokład“ o swych czynach. Strejk pięciu szczeciniarzy „goroda Smorgoni“, przyczem zaaresztowano drugie tyle „podżegaczy“, pojedynek jakichś dwóch kornetów, areszt drukarni, dokładne wyszczególnienie wszystkich partyj winta, rozegranych przez szlagonów, którzy bawią się w Tołstoizm oto jest ulubiona i zdaje się jedyna lektura kierownika największego państwa w Europie. Raporty te składane są carowi w jednym, jedynym egzemplarzu, ale i ten unikat udało się tow. Burcewowi wydostać, co też rzuca ciekawe światło na obyczaje administracyi rosyjskiej.

Zeszyt I (za którym pójść mają inne) obejmuje czas od 25 grudnia 1896 do 25 kwietnia 1897. Ponieważ przez ten czas nie zdarzyły się żadne bardziej znamienne wypadki w ruchu rewolucyjnym, więc i w „Listku“ nie znajdujemy sensacyj. O sprawach polskich jest 6 notatek, między innemi

opis przygotowań P. P. S. do święcenia 1 maja (jedyny w państwie), o ile one doszły do wiadomości żandarmeryi.

Bezgraniczna, przysłowiowa ignorancya policyi rosyjskiej widnieje i tu. Na str. 11 znajdujemy opis przyłapania w Dubnie pewnej ilości wydawnictw rewolucyjnych, które, jak donosi raport, wysłane zostały przez „Kółko wiedeńskie“, składające się z Alfreda Kapelusza oraz Ignacego Daszyńskiego, „znanego redaktora pisma krakowskiego: „Krytyka“. W innem miejscu dowiadujemy się, że student uniwersytetu moskiewskiego, Anatol de Wałden, posiadał pewną ilość egzemplarzy „Robotnika“, „Przedświtu“, 6 tomów „Dzieł Kazimierza Brodzińskiego“ i „inne polskie wydawnictwa rewolucyjne“!

Nie wszystkie raporty poświęcone są polityce. „Pogromy“ żydowskie, rozruchy agrarne, czasem zwykłe bójki między pijanymi robotnikami w odległych dziurach, gdzieś na granicy Azyi — wszystko to regestruje się, z nieodzownem wyliczeniem ilości pałek, wymierzonych ekscedentom. Niektóre opisy dają prawdziwie tragiczny obraz ciemnoty, panującej dotąd wśród mas rosyjskich. Oto np. na str. 85 znajdujemy suchą notatkę, że przy rewizyi, dokonanej na skutek „donosu“ (uderzającą jest olbrzymia ilość denuncyacyj!) u mieszczanina Nazara Tomicza, w mieście Tyraspolu, gub. chersońskiej, odkryto świeżo wybudowaną ścianę. Gdy ta została zburzoną, znaleziono kapliczkę, w której leżało 9 nawpół zgniłych trupów. Okazało się, że byli to sekciarze, którzy kazali się zamurować żywcem, aby uniknąć „pieczęci Antychrysta“, która spadłaby na nich, gdyby zostali wciągnięci do odbywającego się wówczas spisu jednodniowego!

Dość poważną rubrykę stanowi treść listów bardziej wybitnych działaczy rewolucyjnych rosyjskich, mieszkających zagranicą. „Listok“ z całą szczerością wyznaje, że listy te zostały zdobyte „drogą agenturalną“, tj. wykradzione przez prowokatorów (Aziew, Gurowicz — prowok esdecki i inni) lub wręczone przez przekupionych listonoszów. Wszystko to czyta „kierownik państwa“ i lubuje się.

Dusza, karmiona taką strawą duchową, nawet jeżeli miała jakie szlachetne zadatki, musi po pewnym czasie schamieć. *A. W.*

M i c h a ł S o k o l n i c k i. Wojna roku 1809. Nakładem Tow. Szkoły Ludowej. Kraków 1910.

Ładna książeczka i ładnie wydana. Opisuje dość mało ogółowi naszemu znaną epokę Księstwa Warszawskiego, czasy, które dopiero oskardami najmłodszej historyografii polskiej wygrzebywane są z pod gruzu lat i niepamięci. Opisuje wojnę,

prowadzoną przez niedoszły Piemont polski — Księstwo Warszawskie — przeciwko dwu naraz wrogom: szczerze atakującej je Austryi i z ukrycia, pod płaszczykiem rzekomego sojuszu z Napoleonem gryzącej Rosyi, — zapasy prawdziwie tytaniczne, gdzie trzykrotnie mniejsza od austryackiej armia polska, niezrażona utratą Warszawy, potrafiła nietylko utrzymać defensywę, ale przejść do akcyi zaczepnej, zrewolucyonizować Galicyę i wyprzeć ostatecznie Austryaków z terytoryum. W stuletnią rocznicę bitwy pod Raszynem warto takie rzeczy przypominać.

Jedyne, co dziełku zarzucićby można, to nie zawsze popularny język i układ, wymagający skupienia uwagi, do którego nie każdy czytelnik jest zdolny. Ocena sytuacyi, roli, jaką odegrały polskie walki rewolucyjne z początku ubiegłego stulecia i stosunku do nich Napoleona — zupełnie jest trafna. Wydanie tak staranne, że mogłoby służyć za wzór nietylko popularnym książeczkom, zarówno pod względem papieru, druku, jak i prawdziwie artystycznych ilustracyj.

A. W.

LUŹNE NOTATKI.

„Katolicy" w uniwersytecie warszawskim. — Strejk murarski w Warszawie. ▣ Edw.: Ciekawe dokumenty z ruchu zawodowego. — IX. zjazd czeskiej socyalnej demokracyi, — Upadek rewolucyi hiszpańskiej. — Zbliżająca się rewolucya w Meksyku i waleczny Polak. — Podróż cara po Europie. — Organizacye rosyjskie na Litwie i Rusi.

„Katolicy" w uniwersytecie warszawskim. Do wszechnicy warszawskiej wstąpiło tego roku 294 studentów. Z tych 34 jest, według statystyki urzędowej „katolikami", czyli prawdopodobnie Polakami. Liczba ta, mniejsza od zeszłorocznej, świadczy o tem, że agitacya za bojkotem szkoły rosyjskiej wydała owoce. Ilu z pomiędzy owych 34 katolików jest esdeków, a ilu realistów lub czarnosecińców — tego statystyka nie podaje. A szkoda, bo mielibyśmy sprawdzian względnego natężenia wpływu, jaki wywierają na społeczeństwo polskie partye te, usiłujące zdeprawować naszą myśl polityczną. Towarzyszy z kraju upraszamy, by podali nam n a z w i s k a t y c h 34 ł a j d a k ó w, które przygwoździć należy na wieczne czasy.

Strejk murarski w Warszawie ma się ku końcowi (gdy to piszemy, strejkuje jeszcze około 350 robotników) i, jak się zdaje, zakończy się zwycięstwem. Jest to pierwszy większy strejk, prowadzony przez samych robotników, bez mieszania się do kierownictwa ruchem partyj politycznych. Zjawisko to jest b a r d z o p o c i e s z a j ą c e, gdyż w normalnym biegu wypadków walką ekonomiczną powinny zajmować się organizacye zawodowe, nie polityczne.

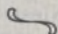
Pomyślny przebieg strejku tem ważniejszy jest, że szło tu o utrzymanie 8-godzinnego dnia roboczego i norm płacy, wywalczonych jeszcze podczas dni rewolucyjnych. Kto zna warunki pracy murarzy, przymusowe bezrobocie, na które oni skazani są przez większą część roku i brak najbardziej podstawowych warunków hygienicznych na naszych

budowlach, ten oceni dopiero, jak ważnem jest, by przynajmniej ta kategorya pracowników miała zapewniony jako tako znośny byt.

Strejk murarski otoczony był sympatyą szerokich kół, nawet po za proletaryatem. Przedsiębiorcy usiłowali z początku oszukać publiczność, wmawiając w nią, że chcą oni utrzymać dawną normę płac, że nawet podniosą się one, ale kłamstwa ich zostały wkrótce wykryte. Przyczyniło się do tego zachowanie się części prasy, która wyzwoliła się od dawnego, zgoła reakcyjnego i sprzyjającego bezwzględnie kapitałowi kierownictwa Narodowej Demokracyi. I w tym więc wypadku widzimy, jak stosunki polityczne wywierają wpływ na bieg wypadków ekonomicznych.

Nie trzeba jednak wysnuwać z przebiegu strejku wniosków zbyt optymistycznych. Fach murarski znajduje się w wyjątkowo pomyślnych warunkach, gdyż nie jest tu możliwe stosowanie maszyn, a konieczna jest pewna wprawa zawodowa, utrudniająca używanie łamistrejków. Powodzenie jest zatem możliwe, o ile koledzy w fachu dotrzymują solidarności. W innych wypadkach zapewne nieraz jeszcze kapitaliści, przy brutalnej pomocy rządu zwyciężą.

W każdym razie murarze warszawscy spisali się dzielnie i dali dobry przykład całemu proletaryatowi.



Ciekawe dokumenty z ruchu zawodowego w Europie Zachodniej. Już po napisaniu i wydrukowaniu nawet artykułu „Syndykalizm rewolucyjny we Francyi a C. G. T.“, umieszczonego w Nr. 7 „Przedświtu“, pojawiły się dwa olbrzymiej doniosłości społecznej dokumenty statystyczne, które rzucają ciekawe światło na ruch zawodowy we Francyi i w innych krajach. Chcemy mówić o ankiecie, zarządzonej przez angielski departament pracy (Board of Trade) i o ostatnich zeszytach „Oficyalnego Rocznika Syndykatów rzemieślniczych, przemysłowych, handlowych i rolniczych za rok 1908—1909“ (L'Annuaire des Syndicats professionnels, industriels, commerciaux et agricoles pour l'année 1908—1909). Dokumenty te oficyalne, wydane przez odpowiednie instytucye, zasługują zupełnie na wiarę. Nie mamy tu bowiem do czynienia ze statystyką rządu rosyjskiego, lub z opierającemi się na tej ostatniej „pracami“ esdeków. Z ankiety angielskiego departamentu pracy widać jak na dłoni, iż klasa robotnicza w Anglii pracuje mniej, jest płatna lepiej, mieszka wygodniej, odżywia się znacznie posilniej i taniej, niż jej brać w Niemczech lub we Francyi. Co jednak jest charakterystyczne, to mianowicie, że robotnicy we Francyi gorzej stoją pod tymi względami od robotników niemieckich. Jeżeli chodzi o dzień roboczy, o ile przyjmiemy 100 dla robotnika angielskiego, niemiecki robotnik otrzyma 111, francuski zaś 117. — Jeżeli przyjrzymy się płacy, to, przy uprzedniej normie angielskiej 100, otrzymamy dla robotników budowlanych 65 we Francyi, 75 w Niemczech, dla robotników metalowców 81 we Francyi, 87 w Niemczech. Zarobek tedy robotnika francuskiego jest najmniejszy. Jest on o 25% niższy od zarobku w Anglii.

Z mieszkaniami jest jeszcze gorzej dla Francyi. Przy normie 100 dla Anglii, francuski robotnik otrzymuje 98.

Z odżywianiem, t. j. z cenami na produkty spożywcze, rzecz się przedstawia, jak następuje. W miesiącu październiku roku 1905, płacono

	Anglia	Niemcy	Francya
za cukier	100	119	144
„ masło	100	105	94
„ kartofle	100	88	100

	Anglia	Niemcy	Francya
„ mąkę	100	140	153
„ chleb	100	—	115
„ mleko	100	75	71
„ mięso wołowe . .	100	122	109
„ „ baranie . .	100	137	131
„ wieprzowinę . .	100	123	116
„ węgiel	100	124	170
„ naftę	100	135	188

Ogólnie biorąc, robotnik francuski musi płacić za produkty spożywcze 18%, niemiecki 15% drożej od robotnika angielskiego.

Oczywiście każdemu rzuca się w oczy, jak słusznie zauważa tow. Vanderwelde, iż położenie robotnika ściśle zależy od potęgi Związków Zawodowych w każdym kraju. Oczywiście solidne „burżuazyjne“ trade-uniony w Anglii dały klasie robotniczej znacznie więcej, niż „rewolucyjna“ i „proletaryacka“, nawskroś klasowa C. G. T. we Francyi. Cyfry powyższe dają również odpowiedź na te zarzuty, jakie czynią powszechnie niemieckim robotnikom i ich organizacyi. Natomiast pod niemiłosierny pręgierz stawiają całą nieobliczalną taktykę syndykalistów we Francyi, gdzie ruch zawodowy rozpoczął się nie o wiele później od Anglii. Niestety, jak widać z drugiego dokumentu, we Francyi silnie zorganizowani są jeno kapitaliści i fabrykanci. Ogólna liczba związkowców-robotników w przemyśle francuskim wynosi 16% wszystkich robotników, zatrudnionych w przemyśle fabrycznym. Natomiast, nawet w handlu, liczba związkowców-właścicieli wynosi 22%.

C. G. T. jednoczy 5% robotników we Francyi. Liczy ona według danych oficyalnych 350.000 członków, na 957.102 związkowców wogóle i na 6 milionów blisko ogólnej liczby robotników we Francyi. Giełd Pracy w r. 1907 było 130, w r. 1908 — 142. Na ostatku cyfry dotyczące układu sił w C. G. T., czyli t. zw. rządów „świadomej mniejszości“. W roku 1907 Giełdy Pracy liczyły 2.598 związków zawodowych z 456.627 członkami, w r. 1908 liczą 2.667 związków, ale liczba członków spadła o... 22.240 — liczą te związki zawodowe 434.387 członków. Cyfra ta jest tak przerażająca, iż towarzysze francuscy posądzają rząd o świadome pofałszowanie danych statystycznych. Może „sojusz“ francusko-rosyjski poszedł i w tym kierunku — może . . . Chcemy temu gorąco wierzyć. *Edw.*

IX. Zjazd czeskiej socyalnej demokracyi odbył się w początkach września. Ma on dla nas szczególne znaczenie ze względu na położenie proletaryatu czeskiego, pod względem narodowym podobne do naszego.

Zjazd liczył 500 delegatów i mnóstwo gości, przybyłych z Słowacyi, Słowenii, Kroacyi, nawet Serbii i Bulgaryi. Zaczął się od sprawozdania Zarządu partyjnego, które wykazuje, jak znaczne postępy zrobił socyalizm w tym kulturalnym kraiku.

Według sprawozdania na zjeździe VIII-ym, odbytym przed 2 laty i 10 miesiącami (w r. 1906), partya liczyła 1.517 organizacyj, z których 1.376 przysłało sprawozdania, wykazujące obecność 99.000 członków. Teraz organizacyj jest 2.462, mianowicie:

Czechy	1.850	org.	— 94.794 czł.
Morawy	324	„	} 16.897 „
Śląsk	69	„	
Austrya Dolna	123	„	— 4.802 „
„ Górna	6	„	— 289 „

Zwracamy uwagę na organizacye w Austryi D. i G. — krajach czysto niemieckich, gdzie jednak emigranci czescy należą do organizacyi ogólno-czeskiej.

Członków posiada partya według wykazów — 116.762, ponieważ jednak nie wszystkie organizacye przysłały sprawozdania, a liczba składek, wniesionych do Zarządu, przewyższa 140.000 pozycyj, więc przyjąć można, że zorganizowanych politycznie towarzyszy jest 130.000.

Zgromadzeń odbyto 57.108. Pism politycznych jest 25 (w tem 3 codzienne), zawodowych 43, innych 9. Książek i broszur wydano egzemplarzy 580.000. Radców gminnych partya liczy 1.621, w tem 15 wójtów socyalistycznych.

Zjazd zaczął się od protestu przeciwko zamknięciu szkół czeskich w Austryi Dolnej, uchwalonego jednogłośnie.

Potem przystąpiono do kwestyi narodowościowej. Referent, dr Szmeral, wskazał na to przedewszystkiem, że kwestya narodowościowa zaostrza się z rozwojem demokracyi, która wciąga do życia narodowego coraz szersze warstwy ludności (już to jedno wystarczyłoby, aby nasi „uczeni“ esdecy — będący w rzeczywistości tylko niedouczonymi półanarchistami — ukamienowali go, jako „socyalpatryotę“). Ale zadaniem socyalistów nie jest zaognianie sporów narodowościowych, tylko rozstrzygnięcie ich. Otóż dotąd głównym celem partyi było zdobycie powszechnego prawa wyborczego. „Teraz musi nim być przekształcenie konstytucyi, która pozostaje w sprzeczności z dzisiejszem ustosunkowaniem sił w państwie“. Przed r. 1867, gdy powstawała dzisiejsza dualistyczna konstytucya, większość narodów Austryi nie żyła życiem narodowem, Niemcy i Węgrzy byli czynnikami panującymi. Dziś narody się przebudziły, dziś „Austrya może istnieć tylko jako federacya wolnych narodów“. Jest to koniecznością i dla nich i dla państwa. Bez pokoju narodowościowego Austrya nie może bowiem myśleć o wywieraniu wpływu na ludy bałkańskie.

Ale „jeżeli socyalna demokracya chce także w kwestyi narodowościowej być czynnikiem decydującym, to musi starać się o to, ażeby wszyscy nasi towarzysze u wszystkich narodów Austryi doszli do zrozumienia zagadnienia narodowościowego“. Dotychczasowy program partyjny, choć zawiera duży ustęp o kwestyi narodowościowej, nie wystarcza. Musi on być rozwinięty. To jednak nie może być dokonane bez porozumienia z partyami bratniemi innych narodów Austryi, dlatego referent proponuje znieść się z niemi i zainicyować wspólne opracowanie dyrektyw, obowiązujących dla wszystkich.

Ze swej strony referent uważa za konieczne następujące wytyczne: 1) Zaprowadzenie zupełnej autonomii narodowościowej na podstawie osobistej. 2) Demokratyzacya, autonomizacya i decentralizacya wszystkich władz państwowych. Dla wcielenia tych zasad koniecznem jest stworzenie parlamentów narodowych oraz rządów narodowych, wybieranych w powszechnem głosowaniu przez wszystkich członków danego narodu, niezależnie od tego, gdzie mieszkają. Parlamenty te załatwiałyby wszystkie sprawy narodowo-kulturalne i rozporządzałyby środkami finansowymi, ustosunkowanymi do siły każdego narodu. Oprócz tego musiałyby być potworzone krajowe, powiatowe i gminne zastępstwa i organy wykonawcze, również narodowe.

W dyskusyi zabierali głos różni delegaci, między którymi znalazł się i jeden herveista (po naszemu — esdek), utrzymujący, że sprawy narodowościowe obchodzą tylko „burżuazyę“.

Wniosek referenta przyjęty został jednogłośnie. Należy przypuszczać, że przedstawicielstwa partyj poszczególnych narodowości przystąpią niebawem do opracowania odpowiednich projektów prawnych.

Innym ważnym punktem porządku dziennego była kwestya rolna. Tu zwrócono uwagę głównie na dwie rzeczy: 1) że olbrzymia większość ludności rolnej nie ma interesu w ustanawianiu wysokich ceł i opłat na produkty spożywcze, w Czechach istnieje bowiem 80% rolników, mających mniej niż 5 hektarów gruntu (10 morgów polskich), w Morawii — 85%, na Śląsku 79%; 2) że należy dążyć do obrony ludności małorolnej w gminach, przez domaganie się dawania jej prawa bezpłatnego korzystania z pastwisk gminnych, oraz taniego dzierżawienia gruntów gminnych.

Wreszcie zjazd wypowiedział się za jaknajenergiczniejszą walką o powszechne prawo głosowania do sejmu, rad powiatowych i gminnych.

Upadek rewolucyi hiszpańskiej pouczający jest dla nas pod niejednym względem. Hiszpania, jako państwo, znajduje się w stanie bardzo daleko posuniętego rozprzężenia. Procenty od długów pochłaniają 3/8 dochodów państwowych, reszta tonie w kieszeniach urzędników i liwerantów, oświata stoi tak prawie nisko, jak u nas, produkty są drogie z powodu nadmiernych podatków, handel i przemysł nie mogą się z tego powodu rozwinąć, jednem słowem — większa część ludności cierpi, a zadowolona jest tylko garść wyzyskiwaczy, mnichów i wyższych urzędników. Nadużycia, często brutalne bezprawia władz, powstrzymują ludność od jawnego wypowiadania swych żądań, dlatego niezadowolenie nurtuje pokryjomu, przejawiając się tylko od czasu do czasu w formie buntów. Dodajmy, iż bunty te znajdują podatny grunt w tradycyach rewolucyjnych, które są tam bardzo żywe. Każdy Hiszpan wie, że gdy się robi rewolucyę, to nie polega ona na mityngach, ale trzeba najprzód zwyciężyć wojsko, potem zająć gmachy publiczne, ogłosić „Juntę“ rewolucyjną (rząd) i rządzić. Ludność robotnicza skoncentrowana jest w miastach portowych i paru prowincyach, posiadających rozwinięte górnictwo, co też ułatwia szerzenie się ruchu rewolucyjnego. Wreszcie, w ostatnich czasach przybył jeszcze jeden powód niezadowolenia — upokorzenie narodu przez utratę kolonij czysto hiszpańskich, które odpadły dzięki tyranii i chciwości rządu.

Jednem słowem, pomimo niskiego stanu kultury, ruch rewolucyjny ma duże szanse rozwoju i powodzenia. Zaś przyczyna, która wywołała ruch ostatni, była tego rodzaju, iż rozumiał ją każdy: szło o zapobieżenie bezmyślnej wojnie, rozpoczętej dobrowolnie przez rząd przeciwko dzikim plemionom marokańskim, których poskromienie a nawet podbicie najmniejszej korzyści nie przyniesie Hiszpanii. Dość bowiem powiedzieć, że dzisiejszy wywóz towarów hiszpańskich do Marokka nie przenosi 1,700.000 franków (700.000) rubli). Dlatego przeciwko wojnie wystąpiła cała ludność, poczynając przedewszystkiem oczywiście od ludu pracującego: rekruci opierali się, w miastach przemysłowych odbywały się demonstracye, dochodziło do starć z wojskiem, wreszcie wybuchł otwarty bunt, który zogniskował się na odwiecznym terenie rewolucyi — w Katalonii.

Ale buntowi temu brakło hasła politycznego. Z okrzykiem: precz z wojną! — można walczyć, nawet zginąć, trudno jednak zwyciężyć, jeżeli buntownicy nie wystawiają jakiegoś programu politycznego i społecznego, któryby zapewnił ludności trwałą poprawę bytu i tem pociągnął wszystkich niezadowolonych. Tego hasła nie było. Obie partye rewolucyjne — socyaliści i republikanie, nie wzięły udziału w ruchu, nie potrafiły zeń skorzystać. Socyaliści hiszpańscy niezmiernie są doktrynerscy; wytężają oni swą energię głównie na zwalczanie republikanów, używając przytem argumentów, którychby nie powstydzili się nasi esdecy, lekceważąc zupełnie znaczenie obalenia monarchii i wprost obniżając w ludzie zrozumienie znaczenia

republiki. Zaś republikanie, tkwiąc w starych formułach czysto politycznych, utracili wpływ na masy robotnicze i przez to samo stają się coraz bardziej konserwatywni pod względem społecznym. Jednem słowem, partye te odpowiadają poniekąd naszym esdekom oraz Lidze Narodowej z przed r. 1904. To wystarcza, aby zrozumieć, iż nie potrafiły one sprostać zadaniom, które spadły na nie znienacka.

Dzięki doktrynerstwu socyalistów i konserwatyzmowi republikanów w Hiszpanii szerzy się dotąd ruch anarchistyczny. Ale i ten, dla samej swej istoty, nie jest w stanie zreformować społeczeństwa. W ten sposób, po przelaniu strumieni krwi, wszystko wróciło do dawnego łożyska i dziś tylko salwy egzekucyjne i zapełnione lochy twierdzy Monjuich świadczą o bohaterstwie zwyciężonych buntowników. Ruch hiszpański skończył się tem, do czego doprowadzają wszystkie ruchy żywiołowe, które nie potrafiły wykrystalizować z siebie programu politycznego — klęską i reakcyą.

Zbliżająca się rewolucya w Meksyku i waleczny Polak. Nietylko na Wschodzie kapitalizm zmienia strukturę społeczną i doprowadza do rewolucyi. Ten sam proces odbywa się obecnie w niektórych państwach Ameryki środkowej i południowej, przygotowując tam zmiany polityczne, które prawdopodobnie wkrótce się odbędą.

Do niedawna większość repuublik amerykańskich znajdowała się na tym stopniu rozwoju społecznego, na jakim postawili je zdobywcy hiszpańscy i portugalscy wieku XVI. i XVII. Miasta były nieliczne i zamieszkałe przez urzędników oraz drobnomieszczaństwo, po za ich bramami zaś zaczynały się dzikie stepy lub puszcze, w małej tylko cząstce zamienione na ziemię uprawną. Kto miał zdrowe muskuły i odwagę, ten znajdował sobie zawsze kawałek gruntu i pożywienie. O politykę dbano mało; była ona udziałem garści awanturników, którzy dzielili się na koterye, przywiązane do pewnych osób i co kilka lat wydzierające sobie z rąk władzę za pomocą miniaturowych rewolucyj. Ale do tej idylli wtargnęły kapitały amerykańskie, które z początku prowadziły gospodarkę rabunkową, wycinając lasy drzew drogich, wyczerpując kopalnie i t. d. Powoli jednak zaczęły się na miejscu tworzyć fabryki, powstał proletaryat nowoczesny, przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe, rolnictwo bardziej intensywne. Zjawiła się warstwa przedsiębiorców i robotników nowoczesnych, która nie mogła się zgodzić z dawną gospodarką rządową, potrzebując spokoju, porządnej administracyi, wpływu na władzę prawodawczą i wykonawczą.

Ci reformatorzy spotykają się z dwoma wrogami: z bandytami, którzy dawniej rządzili i nie chcą wyrzec się zysków, oraz z kapitalistami amerykańskimi, otrzymującymi od dzisiejszych władców kraju za łapówki koncesye, kolosalne obszary gruntu, budowę kolei i t. p. W wielu wypadkach ci ostatni są prawdziwymi panami: prezydent republiki Wenezueli obalony został przez amerykański trust asfaltowy, Nikaragua znajduje się w ręku trustu owocowego, Panama została uniezależniona, by łatwiej było kapitalistom w niej rządzić i t. d. Ale większe organizmy państwowe wydzielają z siebie siły, które probują wyzwolić się z dotychczasowej podwójnej tyranii. Do nich należy przedewszystkiem Meksyk.

W republice meksykańskiej od ćwierci wieku rządzi prezydent P o r f i r i o D i a z, który co 6 lat wybiera siebie na kierownika państwa i zapełniając więzienia, utrzymuje siłą starą anarchię, ku korzyści i zadowoleniu kapitalistów amerykańskich, oraz zgrai swych pomocników. Tworzą się przeciwko niemu ciągłe spiski, doprowadzające do buntów. W końcu roku ubiegłego, odbyła się rewolta wojskowa, w której wzięły udział 2 pułki piechoty i 1 kawaleryi. „Porzą-

dek“, zwyciężył po dość krwawych walkach i rozstrzelaniu kilkunastu „przywódców“. Jeszcze częstsze są strejki robotników, doprowadzonych do rozpaczy przez amerykańskich wyzyskiwaczów; strejki te, przy zupełnem nie istnieniu swobody zebrań i stowarzyszeń, traktowane są jako bunty i poskramiane ogniem karabinowym.

Prawą ręką Diaza jest „jenerał“ Kosterlicki, Polak, który pełni funkcye kata wobec rewolucyonistów. On to wymordował podczas jednego strejku w r. 1906 — 74 strejkujących mężczyzn, 6 kobiet i 4 dzieci. On, na czele swego „korpusu“ zbrojnych dzikusów, tropi rewolucyonistów, bierze ich do niewoli i niszczy posiadłości ich rodzin. W ten sposób kapitał potrafił wprządz do swego rydwanu „tężyznę“ polską.

Rewolucyoniści meksykańscy, kryjąc się przed prześladowaniami, uciekają z kraju i usiłują prowadzić swą robotę z miejscowości pogranicznych w Stanach Zjednoczonych. Ale kapitaliści amerykańscy, zsolidaryzowani z Diazem, wywierają naciski na sędziów, którzy naruszają prawo schronienia i więżą oraz prześladują emigrantów. Niedawno (w czerwcu) zostało zaaresztowanych 4 Meksykańczyków, których obwiniono o „planowane zbrojne wkroczenie do Meksyku“ i na tej podstawie zasądzono na 18 miesięcy więzienia. Ujęła się za nimi „Liga obrony zbiegów politycznych“ i teraz sprawa poszła przed sąd apelacyjny. Wreszcie zajęła się tem „Amerykańska Partya Socyalistyczna“, która wydała okólnik do organizacyj, by zbierały składki i popierały materyalnie rewolucyę meksykańską. Polskie pisma socyalistyczne („Robotnik Polski“ i „Dziennik Ludowy“) czynny biorą udział w tej kampanii.

Gromadzą się zatem coraz większe siły przeciwko reakcyi kapitalistycznej.

Podróż cara po Europie zamieniła się w jedną skandaliczną kompromitacyę, dzięki energicznej działalności partyj socyalistycznych wszystkich krajów, które wartogłowy Mikołajek zamierzał uszczęśliwić swą obecnością. W parlamentach francuskim i angielskim toczyły się takie rozprawy, padały na krwawego despotę takie obelgi, a ministrowie, wstydzący się swej roli, tak mięko na nie odpowiadali, że żaden szanujący się gość nosa by w tych krajach nie pokazał, gdyby go się to tyczyło. Ale „samowładcę Wszechrosyi“ pędzi gorzka potrzeba — wyłudzenia choć trochy grosiwa na utrzymanie trzeszczącej w swych podstawach machiny państwowej. Musiał on połykać obelgi i upokarzać się, byle coś wyżebrać.

Niezmiernie sympatyczny jest stanowczy zwrot w opinii francuskiej. Można napewno powiedzieć, że gdyby nie ciągłe pobrzękiwanie szablami junkrów pruskich, lub gdyby znalazł się jakiś inny sojusz, który mógłby zastąpić Francyi Rosyę, skończyłaby się już dziś przyjaźń rządów republiki i caratu. Olbrzymią zasługę ma pod tym względem tow. Włodzimierz Burcew, który swemi rewelacyami wykazał Francuzom, z jak nikczemną, wiarołomną i tylko o sobie myślącą zgrają oni się kumali. Tow. Burcewowi międzynarodówka socyalistyczna winna za jego niezmordowaną, a tak niebezpieczną pracę wdzięczność dozgonną. Dla nas zaś wypływa stąd nauka, że socyalizm międzynarodowy może wywierać i będzie wywierał coraz większy wpływ na stosunki międzypaństwowe, byle ku temu przykładać starań.

Niezmiernie energicznie spisali się towarzysze włoscy, którzy zagrozili nawet strejkiem, w razie skalania ich ojczyzny stopami cara. To też zdaje się, że car we Włoszech nie będzie przyjęty nawet na schodach, jak to odbywało się w innych państwach.

I to ma pewne ogólniejsze znaczenie. Chytrzy doradcy cara

zamierzają bowiem skorzystać ze sposobności i wrócić z Włoch przez Dardanele i Bosfor, a w ten sposób stworzyć precedens przejścia kilku rosyjskich statków wojennych przez cieśniny czarnomorskie, które dziś są dla nich zamknięte. Plan ten może spełznąć na niczem.

Organizacye rosyjskie na Litwie i Rusi. Centralny organ partyi Socyalistów Rewolucyonistów rosyjskich „Znamia Truda" (Sztandar Pracy) zamieszcza od pewnego czasu artykuły o kwestyach organizacyjnych. W ostatnim z nich (w Nr. 20, sierpniowym) znajdujemy duży ustęp, poświęcony Litwie i Rusi. Redakcya organu naszych towarzyszy rosyjskich stara się w tym artykule zbić pogląd, jakoby „kresy zachodnie" były „martwą krainą", nie mającą znaczenia dla całokształtu ruchu rosyjskiego. Owszem, powiada „Zn. Tr.", na Litwę i Ruś wielką uwagę należy zwrócić i to dla dwóch powodów: 1) że włościaństwo tych miejscowości dotąd znajduje się całkowicie pod wpływem duchowieństwa, zwłaszcza katolickiego, co robi z Litwy i Rusi coś w rodzaju „Wandei rosyjskiej"; 2) że kraje te stanowią przejście od „obszczyny" rosyjskiej do własności prywatnej zachodnioeuropejskiej, należy zatem rozwinąć tam szeroki ruch socyalistyczny, aby wykazać, że S. R. nie pokładają wszystkich swych nadziei na „obszczynę", ale potrafią stworzyć ruch agrarny wszędzie.

Artykuł ten świadczy o dość wysokim stopniu nieoryentowania się towarzyszy rosyjskich w sytuacyi. Litwa i Ruś nie są żadnem „przejściem" od Wschodu do Zachodu, ale pod względem ekonomicznym stanowią zwykły Zachód. „Obszczyny", t. j. władania gruntem przez całą gminę, niema tam wcale (o ile nie brać pod uwagę gminnych pastwisk i. t. p., które spotkać można w całej Europie); nietylko jej niema, ale nie istniała ona tam wogóle za czasów historycznych. Dalej, artykuł nie zwraca uwagi na to, że nienawiść do „panów", szerzona jest tam (szczególniej na Rusi) przez czarnosecinne duchowieństwo prawosławne w takich rozmiarach i z taką bezwzględnością, iż socyalista działający wśród włościan, musi bardzo się wystrzegać, by jego słowa nie były identyfikowane z działalnością mnichów z Poczajewa. Wreszcie, należało zwrócić i na to uwagę, że na kresach nie istnieje wcale rdzenna ludność rosyjska: jest tylko część żydów, mówiących po rosyjsku, oraz trochę białoruskich i litewskich włościan, rozumiejących język rosyjski, będący im zresztą zupełnie obcym.

Przypuszczamy, że praktyka życiowa pokaże towarzyszom S. R. rosyjskim, jak należy się na powyższe kwestye zapatrywać. Sami zaś chcielibyśmy zwrócić uwagę wszystkich naszych towarzyszy, czasowo lub stale przebywających na Litwie i Rusi, że wnioski organu socyalistów rosyjskich z jeszcze większą siłą przemawiają za wszczęciem działalności P. P. S-owej na kresach. W walce z klerykalizmem katolickim P. P. S-owiec daleko łatwiejsze będzie miał zadanie od Socyalisty Rewolucyonisty, nawet mówiącego po polsku. Zaś materyału ludzkiego, podatnego naszej propagandzie, jest tam bezwątpienia poddostatkiem. Są nim ludzie dworscy, oficyaliści, drobni dzierżawcy, rzemieślnicy miejscy, robotnicy fabryczni, chłopi, w wielu miejscowościach porozrzucani, wreszcie część inteligencyi i młodzieży. Nawet wśród robotników żydowskich, nie mówiących wcale po polsku, mieliśmy kiedyś na Litwie poważne organizacye. Wznowienie naszej działalności na Litwie i Rusi, którą znamy i gdzie Polaków — pracowników jest poddostatkiem, — byłoby korzystne i dla ludności miejscowej i dla całego ruchu naszego.

NEKROLOG.

We Lwowie zmarła Marya z Zaleskich Mendelsonowa. Od r. 1893, kiedy wraz z mężem usunęła się ze „Związku Zagranicznego Socyalistów Polskich“, nie brała udziału w ruchu; stała się nam obcą i daleką. Ale w poprzednich dziejach socyalizmu polskiego imię jej zapisało się trwale i pięknie, jako wybitnej i ofiarnej działaczki. Obok Filipiny Płaskowickiej, Maryi Bohuszewiczówny, Stanisławy Motz-Abramowskiej, Marya Mendelsonowa była jedną z najznakomitszych postaci niewieścich naszego ruchu socyalistycznego.

Pochodziła z rodziny arystokratycznej i w młodym wieku wyszła za mąż za zamożnego obywatela ziemskiego w Kijowszczyznie, Jankowskiego. Ale myśl socyalistyczna, która, idąc z Zachodu i ze Wschodu, lepsze umysły u nas ogarniała, oddziałała i na nią z nieprzepartą siłą. Zdaje się, że już w r. 1874, kiedy to powstały pierwsze kółka socyalistyczne polskie w Petersburgu, w Moskwie i Kijowie, Mendelsonowa stanęła w tym bardzo nielicznym wówczas hufcu. Od r. 1878, kiedy się właściwy ruch socyalistyczny u nas rozpoczął, Mendelsonowa bierze czynny w nim udział. Przyłącza się do grupy „Równości“ i jako emisaryuszka tej grupy przewozi bibułę, zakłada kółka, nawiązuje stosunki w różnych miastach.

Wiemy np. o jej podróżach agitacyjnych do Lwowa, Krakowa, Wiednia. W r. 1881 wraz z Stanisławem Mendelsonem, Hieronimem Truszkowskim i Konstantym Janiszewskim udała się do Poznańskiego, aby tu zainaugurować ruch, który już przyjął się w dwóch innych dzielnicach Polski. Wkrótce aresztowana wraz z towarzyszami, stanęła przed sądem, który ją skazał na trzy miesiące więzienia. Później, za czasów „Proletaryatu“, Mendelsonowa odgrywa również wybitną rolę. Jako „Stefan Leonowicz“, należy do składu redakcyi „Walki Klas“; wraz ze Stanisławem Kunickim podpisuje w imieniu organizacyi polskiej umowę z „Narodną Wolą“; poważnemi sumami zasila kasę partyjną; prowadzi korespondencyę, zajmuje się robotami technicznemi, tłómaczy z różnych języków broszury i książki, wydawane przez partyę itd. W r. 1887 wraz ze Stanisławem Mendelsonem i Aleksandrem Dębskim jedzie nielegalnie do kraju, aby nawiązać przerwane z krajem stosunki. W ewolucyi, która doprowadziła do założenia P. P. S., bierze czynny udział. W listopadzie 1892 r. uczestniczy w zjeździe paryskim, na którym ułożono program P. P. S. W sierpniu 1893 r. na międzynarodowym zjeździe w Zurychu reprezentuje Z. Z. S. P. i P. P. S. To był zarazem ostatni przejaw jej działalności socyalistycznej.

Zeszyt Nr 8 i 9 „Krytyki" za rok 1909

zawiera treść następującą:

Część pierwsza: 1. (f): Niemcy współczesne. 2. Z. K.: Narodowe organizacye robotnicze w Królestwie. 3. L. Kulczycki: Współczesny syndykalizm robotniczy. 4. J. Kwiatek: Pisma Słowackiego treści ideowo-politycznej. 5. H. Kozicka: Religia w nauczaniu i wychowaniu. 6. Junius: Współcześni politycy polscy. IX. Erazm Piltz. 7. Przegląd: I. Z trzech zaborów. II. Ludwik Gumplowicz. Wspomnienie pośmiertne. III. Królewiak: Z Kongresówki. 8. Sprawozdania naukowe.

Część druga: 1. T. Miciński: Hańba narodu. 2. Wincenty Brzozowski: Prozerpina zrywająca fijołki. — Modlitwa do gwiazd. — Godzina. Poezye. 3. Dr. Bron. Biegeleisen: Filozofia Bergsona. 4. Rom. Minkiewicz: Dramat duszy polskiej („Róża" Józefa Katerli). 5. Ewa Łuskina: Neitaker — „Piękna na różanym wozie". 6. R. Zrębowicz: Dramat Staffa. 7. Marion: Posłanie. 8. K. Kwieciński: Jeszcze o „Widzeniu Ks. Piotra" i Mickiewiczowskiem 44. 9. Przegląd: I. A. Zagórski: Teatr lwowski. II. Jan Kleczyński: „Tygodnik Ilustrowany" o Wyspiańskim. III. Bol. Wallek-Walewski: O muzyce słów kilka. IV. Wł. Bogusławski. Wspomnienie pośmiertne.

Prenumerata wynosi: W Austryi: rocznie 16 K, półrocznie 8 K, kwartalnie 4 K, pojed. K 1·50; za granicą: rocznie Mk. 16 lub fr. 20, półrocznie Mk. 8 lub 10 fr., kwartalnie Mk. 4 lub 5 fr., pojed. Mk. 1·50 lub 2·— fr.; w Król. i Rosyi: rocznie rb. 9·—, półrocznie rb. 4·80, kwartalnie rb. 2·40, w Warszawie kwart. 2·— rb., pojed. 85 kop.

Redakcya i administracya „Krytyki": Kraków, ul. Stachowskiego 14.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Tadeusz Bobrowski.